

Peggy Moreland

Narodziny miłości

PROLOG

Wiszący w powietrzu dym wypełniał ciemność. Jego ostra woń drażniła nosy żołnierzy kryjących się w wysokich zaroślach. Niektórzy z nich korzystali z chwilowej ciszy i kładli się na ziemi, trzymając broń w pogotowiu, a ekwipunek pod głową. Inni skuleni czuwali, czekali...

Antonio Rocci, Romeo, jak nazywali go koledzy, chciałby zasnąć, ale nie mógł. Strach sprawiał, że oczy miał szeroko otwarte, a uszy czujne na każdy odgłos wydobywający się z czerni nocy. Niewielkie światełka i strużki dymu w oddali świadczyły o tym, że była tam wioska. Zgodnie z doniesieniami zwiadowców żołnierze Vietkongu umieścili w niej stanowiska artylerii. Tego dnia około południa zaatakowano je z powietrza. Szałasy z bambusa i traw, stanowiące domostwa miejscowej ludności, spłonęły doszczętnie. Pozostał po nich żar i gęstwa dymu.

Nazajutrz rano Romeo i inni żołnierze z jednostki mieli za zadanie spenetrować wieś w poszukiwaniu dział artyleryjskich i zapasów amunicji, a także policzyć zabitych i tych, co przeżyli. Romeo czuł ucisk w gardle na myśl o tym, jaki widok może się ukazać jego oczom. Szybko ją odrzucił. To wojna, powiedział sobie w duchu. Albo ty, albo ten drugi.

– Romeo?

Aż podskoczył, ale zaraz pokonał odruch lęku, bo wołał go Pops, dowódca ich drużyny. Nadał głosowi normalne brzmienie:

– Tu jestem.

Usłyszał szelest traw i obrócił głowę, obserwując, jak Pops wynurza się z cienia.

– Wszystko w porządku? – zapytał szeptem dowódca.

Romeo rozprostował dłoń, starł pot z czoła, po czym znów położył rękę na spuście.

– Tak – odparł. – Ale czułbym się znacznie lepiej, gdyby oprócz nas nikogo tu nie było.

– Zgadza się – przytaknął Pops.

Zapadła cisza. Obaj w milczeniu wpatrywali się w mrok nocy.

Romeo nigdy by się do tego głośno nie przyznał, ale prawda była taka, że sama obecność Popsa dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Najstarszy w jednostce Larry Blair, powszechnie zwany Popsem, miał już za sobą służbę w Wietnamie. Obecnie

zalicza drugą turę. Romeo nie wyobrażał sobie, jak ktoś mógł się zgłosić na ochotnika do takiej służby. Gdy on przybył do tego kraju, miał wrażenie, że znalazł się na dnie piekła...

– Pops?

– Tak?

– Nie żałujesz, że zgłosiłeś się na drugą turę?

– Nie ma co żałować tego, co już się stało.

Romeo spojrzał uważnie na człowieka, którego szanował jak ojca.

– Czy ty nigdy nie odczuwasz lęku?

– Jasne, że odczuwam. Żołnierz, który się nie boi, ginie. Lęk trzyma cię w pogotowiu, jesteś wtedy przygotowany na wszystko. Bez tego uczucia jesteś słaby, bezradny.

Romeo zastanawiał się przez chwilę, ale w słowach Popsa nie dostrzegł nic, co mogłoby go podnieść na duchu. Uważał się zawsze za odważnego faceta, nawet chwilami zadziornego, a tu takie myśli...

– Czy jeśli człowiek się boi, to znaczy, że jest tchórzem? – zapytał z wahaniem.

– Nie. Tchórz ucieka i się chowa.

– Chłopaki mówią, że kapelan to tchórz.

– To nieprawda. On nie może znieść tego, że ludzie giną. Zmaga się ze swoją wiarą, nie z tchórzostwem.

Romeo myślał chwilę, po czym potrząsnął głową i rzekł:

– Do diabła, nieważne, czy jesteś bohaterem, czy tchórzem. Każdy musi umrzeć.

Pops wyciągnął z kieszeni gumę do żucia.

– Nie myśl o umieraniu – powiedział, częstując gumą Romea. Sam włożył sobie do ust dwie. – Myśl o życiu, o tym, co będziesz robił po powrocie do domu.

Romeo przełknął głośno ślinę na myśl o tym, co na niego czeka, gdy wróci z wojaczki.

– Czy mówiłem ci, dlaczego zaciągnąłem się do woja?

– Nie, nie mówiłeś.

– Zrobiłem dziewczynie dziecko.

Poczuł na sobie wzrok Popsa i podziękował Bogu, że jest ciemno i że Pops nie widzi jego twarzy, jego wstydu.

– Naciskała, żebym się z nią ożenił, więc pomyślałem, że wojsko pomoże mi się z tego wykręcić.

Jeśli Pops miał własne zdanie na ten temat, to zachował je dla siebie, z czego

Romeo był bardzo zadowolony. Nie chciał wysłuchiwać kazań ani rad. Chciał się jednak przed kimś wygadać.

– Źle zrobiłem – przyznał z żalem – że uciekłem. Nawet gdybym się z nią nie ożenił, to powinienem się czuć odpowiedzialny za dziecko. Moje. Moja krew. Nie wolno mi było zostawiać jej samej. – Obrzucił wzrokiem Popsa. – Myślisz, że już jest za późno?

Pops zmarszczył brwi.

– Na co za późno? – zapytał.

– Na zatroszczenie się o dziecko. Może powinienem posłać jej trochę pieniędzy?

– Na pewno się ucieszy – odparł Pops.

– Właśnie – rzekł Romeo zadowolony z pomysłu. – A gdy wrócę z wojny, postaram się o stałą pracę, żebym mógł co miesiąc wysyłać jej okrągłą sumkę. Mój stary po rozwodzie z matką wysyłał jej forszę regularnie.

– Tak należy robić – orzekł Pops. – Mężczyzna powinien łożyć na swoje dzieci.

Romeo zasmucił się, bo jakaś nowa myśl przyszła mu do głowy.

– A co będzie, jeśli nie wrócę? – Popatrzył z lękiem na Popsa. – Kto zaopiekuje się moim dzieckiem?

Pops poklepał go po ramieniu.

– Nie opowiadaj takich rzeczy. Wrócisz. Wszyscy wrócimy.

Chłopak przyjął to do wiadomości, choć wiedział, że Pops się zgrywa. Bo w kwestii powrotu nie było żadnych gwarancji. Nikt nie ma tu żadnych gwarancji. A jeśli go zabiją, to kto się zajmie jego dzieckiem? Nic po sobie nie zostawi. Żadnych oszczędności, żadnego majątku. Nawet nie miał samochodu! Przed wstąpieniem do wojska sprzedał swojego starego grata.

– Pops?

– No?

– Pamiętasz tego ranczera i jego słowa dzień przed tym, jak wyładowano nas z okrętu?

– Pamiętam go. Co powiedział?

– Że gdy wrócimy szczęśliwie do domu, da nam swoje ranczo. Mój plecak jest w obozie, a w plecaku dokument. Jak mi się coś przydarzy, dopilnuj, żeby mój mały to otrzymał.

– Nic ci się nie przydarzy – rzekł Pops tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Ale jeśli, to obiecaj mi, że wyślesz to do Mary Claire Richards. Z dopiskiem, że dla dziecka.

Zaległa długa cisza, po czym Pops powiedział:

– Masz to u mnie jak w banku.

Rozdział 1

Addy przycisnęła dłoń do czoła. Jeszcze pięć minut i głowa chyba jej pęknie.

Nabrała w płuca powietrza i uzbroiła się w cierpliwość.

– Wiem, że nie lubisz rozmawiać o moim ojcu – zaczęła, dobierając starannie słowa. – Ale to ważne. Dzwoniła ta pani. Stephanie Parker. Powiedziała, że jej ojciec walczył w Wietnamie razem z moim ojcem.

– I co z tego? – burknęła matka. – Tysiące amerykańskich chłopców pojechało tam walczyć.

Addy pominęła milczeniem gorycz płynącą z ust matki i niezrażona ciągnęła temat.

– Stephanie powiedziała mi, że jej ojciec przysłał stamtąd list do matki na wyrwanej z czegoś kartce papieru. Przypuszcza, że taką samą kartkę przysłał do ciebie.

– Ty jesteś moim jedynym podarunkiem od niego. I to był czysty przypadek.

Addy nawet nie drgnęła na aluzję do jej nielegalnego poczęcia. Tylekroć rzucono jej to w twarz, że nie robiło to już na niej żadnego wrażenia.

– Ten dokument może być dla mnie cenny – rzekła. – Nie pamiętasz, czy Tony przysłał ci coś takiego?

– Minęło ponad trzydzieści lat! Jak mogłabym zapamiętać coś, co się zdarzyło wieki temu?! Wyleciało mi z głowy nawet to, jaką pocztę wczoraj dostałam.

– Kawalek porwanej kartki, mamo. Trochę dziwne, że nie pamiętasz.

– Jeśli dzwonisz, żeby mi opowiadać o tym człowieku, to odkładam słuchawkę. Chcę obejrzeć do końca występy.

Rozległ się sygnał przerwanej rozmowy, gdy Addy mówiła:

– Dziecko i ja czujemy się dobrze, dzięki za zainteresowanie.

Skrzywiła się i odwiesiła słuchawkę, zła na siebie, że dopuściła do tego, by matka ją zlekceważyła.

Mary Claire Richards-Smith-Careton-Sullivan była neurotyczną, zapatrzoną w siebie kobietą, która żyła od ślubu do ślubu, przepelniona goryczą przez przeszło trzydzieści lat, obojętna na potrzeby innych, nie wyłączając własnej córki.

Addy westchnęła, odgarnęła z twarzy pasma włosów i powiedziała sobie, że to wszystko nieważne. Przeżyła trzydzieści trzy lata bez matczynej troski. Czego teraz mogłaby po niej oczekiwać?

Przestała rozwiązywać sznurowadła i niemal zamarła pod spojrzeniem stojącej

w drzwiach patio kobiety. Wyprostowała się powoli, czując, że tamta z trudem ją rozpoznaje, miała bowiem wielki brzuch, spuchnięte nogi, a długie czarne włosy, które stanowiły mocną stronę jej urody, upięła w kok. Jeśli dodać do tego jeszcze dość znoszony strój pielęgniarki w zielonym odcieniu, to nasuwała jej się tylko jedna myśl: Dobrze, że Rob jej teraz nie widzi.

Znów pochyliła się nad sznurowadłami, mrużąc pod nosem coś w rodzaju: Nie puściłabym go za próg. Rob Bodean to podły kłamca. Wolę już sama wychowywać dziecko.

Przygryzła dolną wargę, z trudem ściągając but ze spuchniętej stopy i zastanawiając się przy okazji, co z nią dalej będzie. Brakowało jej pieniędzy. Przed półtora rokiem kupiła dom, co pochłonęło oszczędności i wpędziło ją w dług, który będzie spłacała co miesiąc, nadwierżając swój budżet. Było to jednak słuszne posunięcie. Zawsze chciała mieć dom, a właściciel sprzedał go jej za śmiesznie niską cenę. Oczywiście zakupu dokonała, gdy jeszcze nie była w ciąży i w najbliższej przyszłości jej nie planowała, ale gorący, choć krótki romans z Robem Bodeanem zmienił radykalnie jej sytuację.

Kolejnym jej problemem była opieka nad dzieckiem. Za nic nie chciała, żeby się nim opiekował ktoś obcy, jednak ona sama była jedyną osobą pracującą na utrzymanie i nie mogła rzucić pracy, by zostać w domu przy dziecku.

A trzeci problem to brak obojga rodziców dla jej dziecka. Ale w tej kwestii też nie miała wyjścia. Postanowiła sobie jedynie, że postara się być lepszą matką niż jej własna.

Wspomnienie o matce nasunęło jej myśli o ojcu, którego nie знаła, oraz o dotyczącym jego osoby telefonie, jaki odebrała. Zmarszczyła brwi, myśląc o skrawku papieru, o którym wspomniała Stephanie Parker.

Czy to istotnie coś ważnego? – zadała sobie w duchu pytanie i roześmiała się. Jeśli nawet, w co wątpiła, to nie może przecież wydawać pieniędzy na coś tak ulotnego. Może mogłaby się czegoś dowiedzieć, przeszukując garaż, gdzie matka przechowywała różne rzeczy na wszelki wypadek. Jeśli w ogóle istnieją jakieś dane o tym fakcie, to być może tam by je znalazła.

Ale nie dziś wieczór, pomyślała z westchnieniem. Wzięła długie, ośmiogodzinny dyżur w pogotowiu i zamierzała go spędzić, siedząc wygodnie przed telewizorem.

Oparła się o framugę i zdjęła drugi but. I wtedy nagły ból przeszył ją na wskroś, odbierając oddech. Z szeroko otwartymi z przerażenia oczami osunęła się wolno na kolana. Wsparłszy się dłonią o podłogę, by utrzymać równowagę, i usiłując zapanować nad oddechem, zaczęła szukać logicznego wytłumaczenia tego bólu. Na

pewno to nie z powodu pracy, którą miała podjąć dopiero za dwa miesiące w Braxton Hicks. Miewała już wcześniej takie bóle i wiedziała, że mijają. Tak było do tej pory.

Gdy klęczała, czekając, aż ból osłabnie, ból się zwiększał i stawał się coraz bardziej intensywny, dojmujący, jak gdyby ścisnęło ją jakieś upiorne imadło. Pot wystąpił jej na czole i nad górną wargą. Nie mogła się ruszyć, oddychała z trudem. Spojrzała na półkę – telefon był poza jej zasięgiem. Przeraziła się. Zrobiło jej się niedobrze. Musi wezwać kogoś na pomoc. Ale kogo? Nie chciała dzwonić pod numer 911, bo to może być fałszywy alarm. Sama pracowała w pogotowiu. Wiedziała, jak to jest, gdy przyszłe matki, sądząc, że rodzą, zabierają położnym i lekarzom ich cenny czas.

Zadzwoi do sąsiadki. Pani Baker posiedzi przy niej, aż uzna, że nadeszła właściwa pora.

Chwyciła się półki, by się podnieść i usiąść, ale kolejny, jeszcze silniejszy atak bólu powalił ją z powrotem na kolana. Zawyla, zwijając się w kłębek. Poczowała wilgoć między nogami i z przerażeniem zobaczyła, że woda spływa jej po spodniach.

Zamknęła oczy. Wiedziała, co to oznacza.

– Boże, błagam cię – modliła się wśród łez. – Nie pozwól, bym straciła dziecko!

Mack wysiadł z auta, porównał numer domu z numerem, jaki nadawca napisał na kopercie, i omiół spojrzeniem budynek. Skromny wystrój staroświeckiego domu zdziwił go. Z licznych podróży znał supernowoczesne apartamenty, a także te, równie drogie, z patyną przeszłości, ale ten dom w niczym nie przypominał żadnego z nich. Sprawiał wrażenie... swojskiego. Pnącza wzdłuż ścian, doniczki z paprotkami na balkonach. Tak, w tym domu mieszka rodzina.

Przypomniawszy sobie własną rodzinę, przez którą znalazł się tutaj. Zaklął pod nosem i ruszył schodami na górę, chcąc mieć już to wszystko za sobą. Zapukał do drzwi pomalowanych na radosny czerwony kolor i odsunąwszy się pół kroku, czekał.

Po minucie niczym niezakłóconej ciszy zapukał znowu. Ze zmarszczonymi brwiami nasłuchiwał dźwięku, który by świadczył o czyjejś obecności w domu. I usłyszał kobiecy głos, ale słowa nie dotarły do niego. Zastanawiał się, czy to „proszę wejść”, czy może „już idę”.

Czekał, sądząc, że to drugie i że zaraz usłyszy odgłos kroków za drzwiami.

Skoro jednak nic nie usłyszał, nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Spojrzał w lewo na rząd okien. Usiłował przeniknąć wzrokiem firanki z nadzieją, że uda mu się coś dostrzec. I faktycznie – przez wąską szparę ujrzał mały fragment salonu. Ale żadnego znaku życia. Powędrował wzrokiem dalej, do holu, potem do drugiego pomieszczenia. Raptem dostrzegł, że coś się poruszyło na podłodze. Zaintrygowany przywarł nosem do szyby.

– Niech to szlag – mruknął, wpatrując się w coś, co było wyciągniętą ręką, wczepionymi w podłogę palcami. Czy ta kobieta upiła się i upadła? – zastanawiał się w duchu. Nie zdziwiłby się, gdyby miało to coś wspólnego z Robem i jego kumplami. Inne możliwości też przyszły mu na myśl – włamanie, napad, gwałt. Serce waliło mu jak oszałałe, gdy jednym susem pokonał schodki i dopadł drzwi, wyważając je.

– Proszę pani! – zawołał.

– Ratunku! Pomocy!

Głos był słaby, drżący, dobiegał z pokoju obok. Mack podążył tam co tchu. Na podłodze leżała kobieta, twarzą do ziemi. Z położenia jej ciała wynikało, że usłyszawszy jego stukanie, usiłowała się doczołgać do drzwi.

Ukląkł przy niej i położył dłoń na jej ramieniu.

– Jest pani ranna?

– Nie, ale...

Jęcząc, skuliła się jeszcze bardziej.

– Wody... – zaczęła. – Wody mi odeszły – wyjąkała, chwytając z trudem oddech.

Zimny dreszcz przebiegł Maćkowi po plecach. Wiedział, że ta kobieta jest w ciąży, ale nie wiedział, że w tak zaawansowanej.

– Jak często ma pani skurcze?

Wzięła głęboki oddech, obróciła się i spojrzała na niego – Ciągłe. – Zwilżyła wargi. – Proszę... pomóż mi. – Jej oczy napęłniły się łzami, które zawisły na czarnych rzęsach. – Nie chcę stracić dziecka.

Bała się. W jej głosie brzmiała rozpacz. A on miał już tego dość. Pójdzie sobie stąd, podrze czek, by skończyć z tą całą sprawą, z tą niby odpowiedzialnością jego rodziny za nią...

Położyła rękę na dłoni Macka, wpijając paznokcie w jego skórę.

– Proszę cię – mówiła. – Musisz mi pomóc.

Chwilę się namyślał. Wstając, burknął pod nosem przekleństwo. Chwyił telefon i wybrał numer 911.

W poczekalni pogotowia chodził tam i z powrotem. Bolał go brzuch, dłonie miał spocone. Nie z lęku o kobietę, którą przywiózł tu przed półgodziną. Szpital. Nie cierpiał szpitali. Tego specyficznego zapachu. Tej sterylności. Nie wiedział, co go napadło, że tu przyszedł. Spełnił jej prośbę. Zadzwoił pod 911 i czekał wraz z nią na karetkę. Zrobił, co do niego należało. Jeśli straci dziecko, to już jej sprawa. Nie on jest ojcem.

Jęknął, że coś takiego mogło mu przyjść do głowy. Nie życzył niczego złego tej kobiecie. I na pewno nie chciałby, żeby straciła dziecko. Wiedział, jak to jest, kiedy się traci dziecko. Ból, poczucie winy, rana w sercu do końca życia.

– Pan McGruder?

Obrócił się na dźwięk swojego nazwiska. W drzwiach stała pielęgniarka.

– Tak. Słucham?

– Pani Rocci prosi pana. – Otworzyła szerzej drzwi. – Proszę za mną.

Zawahał się. Nie powinien widzieć się z tą kobietą, angażować się w to wszystko jeszcze bardziej. Powinien się wycofać. Wrócić do domu. Zapomnieć o Adriannie Rocci i jej przyszłym dziecku.

Tymczasem szedł korytarzem za pielęgniarką.

Spojrzała nań przez ramię.

– Jest pan w pewnym sensie bohaterem – rzekła.

– Nie jestem żadnym bohaterem – odburknął.

– Dla nas pan jest. Pospieszył pan z pomocą jednej z nas. – Widząc jego zdziwienie, rozwinęła myśl: – Addy pracuje tutaj. Gdyby postąpił pan inaczej, niż pan postąpił, mogłaby stracić dziecko. A może nawet życie.

Zanim zdobył się na jakąś odpowiedź, stanęła przed jedną z kabin i rozsunęła zasłonę.

Widząc wyraz zmieszania na jego twarzy, uśmiechnęła się.

– Proszę się nie niepokoić – powiedziała szeptem. – Addy teraz odpoczywa.

Westchnął i wszedł do środka. Pokój był tak mały, że z trudem się tam mieścił. Kobieta, Addy, jak nazwała ją pielęgniarka, leżała na łóżku prawie tuż za zasłoną, przykryta kocem od stóp do głów. Na przegubie dłoni miała tasiemkę z identyfikatorem, a na wierzchu – tkwiącą w żyłę igłę. Uniósł wzrok na pojemnik kroplówki, po czym przeniósł go na jej twarz.

Z przymkniętymi oczami, z dłońmi splecionymi na dużym brzuchu wyglądała jak uosobienie spokoju i łagodności. Podeszedł do łóżka i stwierdził z ulgą, że nie jest już tak blada jak wtedy, gdy sanitariusze umieszczali ją w ambulansie.

Nie jest piękna, pomyślał, obserwując jej twarz. Raczej oryginalna. Śniada cera, ciemne włosy. Sądząc po nazwisku, jest Włoszką. Wydatne kości policzkowe, długa kształtna szyja.

Gdy tak się jej przyglądał, usiłując odgadnąć kolor oczu, uchyliła powieki. Brązowe, stwierdził. Brązowe oczy.

Dotknęła z uśmiechem jego dłoni.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jesteś. Na pewno cię wymyśliłam.

Głos miała lekko zachrypnięty, trochę jak szept, ale to właśnie mu się podobało.

– Pielęgniarka powiedziała, że chcesz mnie widzieć.

Uścisnęła jego rękę.

– Dzięki. – Zamknęła oczy, przełknęła ślinę. Gdy uchyliła ponownie powieki, łza spłynęła jej na skroń i znikła we włosach. – Nie wiem, co by się stało ze mną i z moim dzieckiem, gdybyś nie przyszedł.

Odwrócił wzrok, nie wiedząc, co powiedzieć. A ona obserwowała go bacznie, jak gdyby zastanawiając się, czy to naprawdę on i co on robił w jej domu.

– Czy ja cię znam? – zapytała.

Zawahał się chwilę, po czym stwierdziwszy, że z nikim go nie kojarzy, przedstawił się:

– Jestem John McGruder, wszyscy mówią mi Mack.

– Mack – powtórzyła, jakby ucząc się tego imienia, i uśmiechnęła się. – Dobre męskie imię – rzekła. – Pasuje do ciebie.

Zanim jakaś odpowiedź przyszła mu na myśl, zamknęła oczy i uniosła się, wsparłszy ręce o materac.

Przerażony rozejrzał się za guzikiem alarmowym.

– Wezwać pielęgniarkę? – zapytał.

– Nie – odparła z westchnieniem, przywołując uśmiech na twarz. – Wszystko w porządku. Doktor powiedział, że mam czekać na częstsze bóle.

Teraz z kolei on westchnął, rad, że jeszcze nie nadeszło to najgorsze.

– Czy to oznacza, że możesz wrócić do domu?

– Nie. Tu będę rodziła.

– Ale mówiłaś, że doktor powiedział, że masz czekać.

– Czekać... Tak, ale w szpitalu. Tu będą czuwać nade mną i dzieckiem.

– Jak długo?

Wzruszyła ramionami.

– Aż urodzę. Termin mam na piętnastego lipca, ale lekarz twierdzi, że trochę się to odwlecze.

Mack nie nadażał. Miał mętlik w głowie. Chyba oszaleje, jeśli ona zostanie tu jeszcze przez sześć tygodni.

– Czy może trzeba do kogoś zadzwonić? Powiadomić rodzinę?

Potrząsnęła głową.

– Jedyna rodzina, jaką mam, to moja matka, która mieszka na Hawajach.

Wyjął pióro z kieszeni.

– Podaj mi jej numer. Zadzwonię do niej. Przyleci na pewno najbliższym samolotem.

– Jesteś kochany, ale to naprawdę nie ma sensu. Przyleci, gdy dziecko się urodzi. Mój wcześniejszy poród nie wpłynie na zmianę jej planów.

– Dlaczego nie pozwolisz jej o tym zdecydować? – zapytał z nutą rozdrażnienia.

Westchnęła i po chwili milczenia rzekła:

– Ona zazwyczaj nie przejmuje się moją osobą. , . Nazywa się Mary Claire Sullivan, jej telefon...

Mack zapisał skrzątnie numer telefonu i wsunął kartkę do kieszeni. Rozejrzał się dokoła z niepewną miną.

– Pójdę już, zanim mnie przegonią – powiedział. – Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

– Przedłużyć ciążę o sześć tygodni – rzekła z uśmiechem. – Żartuję. Wszystko będzie dobrze.

Chciałby już jak najszybciej stąd wyjść, ale z drugiej strony bał się zostawić ją samą.

– Dasz sobie radę? – zapytał.

Wyciągnęła do niego rękę.

– Dzięki, Mack. Za wszystko.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi sali, wyciągnął komórkę i wybrał numer matki Addy.

Słyszając po drugiej stronie kobiecy głos, zapytał:

– Czy pani Mary Claire Sullivan?

– Tak. A kto mówi?

Uraził go podejrzliwy ton w głosie kobiety.

– Mack McGruder. Dzwonię w sprawie pani córki. Addy – dodał, bo przecież może mieć więcej córek. – Zaczęła rodzić dziś wieczór i odwieziono ją do szpitala.

– Czy pan jest sprawcą tej ciąży?

Zaskoczony tym pytaniem i jeszcze bardziej urażony powiedział:

– Nie. Przekazuję tylko informację. Domyślam się, że zechce pani przyjechać i być przy córce.

– Jeśli wyobraża pan sobie, że przylecę z Dallas, by trzymać ją za rękę, to grubo się pan myli. Kiedy ja ją rodziłam, nikogo przy mnie nie było. A rodziłam dwanaście godzin. Sama. Całe dwanaście godzin – dodała.

– Nawet jeśli chciałabym przy niej być, a nie chcę, to mam męża, o którego muszę dbać. Nie mogę tak sobie latać i zostawiać go na łaskę losu. Niech pan powie Addy, że jak narodziła, to niech ponosi konsekwencje. A ja mam dość własnych zmartwień i nie będę się przejmować jej sprawami.

Maćkowi ze zdziwienia szczęka opadła. Jak ona może tak bezdusznie traktować własne dziecko?

– Jeżeli to kwestia kosztów, to załatwię pani ten przelot.

– Ktoś, kto wychodzi z taką propozycją – zaczęła – albo ma coś na sumieniu, albo nie wie, co robić z pieniędzmi.

Mack przygryzł wargi.

– Chcę pani pomóc – spróbował jeszcze raz – bo na pewno chciałaby pani być z córką w takich chwilach.

– Zaszła w ciążę, nie pytając mnie o zdanie, więc i przy porodzie obejdzie się beze mnie.

– To przecież pani córka! – wykrzyknął, nie mogąc dłużej kryć frustracji. – Potrzebuje pani.

– Wypełniłam wobec niej wszelkie obowiązki – oznajmiła. – Wychowałam ją. I to bez pomocy faceta, który ją spłodził.

Mack chętnie obrzuciłby ją przekleństwami, a najchętniej zadusił. Jak rodzona matka może być tak nieczuła?

– Przepraszam, że panią niepokoiłem – mruknął i wyłączył się, żeby nie powiedzieć, co o niej myśli.

Wsunął komórkę za pasek i przeczesał dłonią włosy. Zerknął przez ramię do sali i zobaczył Addy; na jej twarzy malował się niepokój. Prawdopodobnie o dziecko. Była wyraźnie zagubiona, zalekniona.

Z opuszczoną głową skierował się na parking, mówiąc sobie w duchu, że to nie jego sprawa. Zrobił, co do niego należało. Wezwał karetkę, upewnił się, że Addy dojechała bezpiecznie do szpitala. Zadzwoił nawet do jej matki.

I raptem zawrócił i pomaszerował w stronę szpitalnego wejścia. Dopadł pielęgniarkę, która zaprowadziła go przedtem do Addy. Wyjął z portfela

wizytówkę i podał jej.

– Byłbym bardzo wdzięczny – zaczął – gdyby dała mi pani znać, jeśli coś się zmieni w stanie zdrowia Addy. Na dole jest numer mojej komórki. Proszę dzwonić bez względu na porę.

Uśmiechnęła się.

– A mówił pan, że nie jest bohaterem.

– Raczej stróżem – burknął i ruszył ku drzwiom.

– Stróżem? – zapytała ze zdziwieniem.

Stojąc już w progu, obejrzał się i dodał:

– Tak, jednym z tych, którzy sprzątaję po innych.

Rozdział 2

Addy przytuliła głowę do poduszki i zacisnęła zęby, jakby chcąc zdławić ból. Na przekór tym wysiłkom z jej ust wyrwał się krzyk. Dyszała ciężko, zdecydowana walczyć z cierpieniem.

– Bardzo boli? – zapytała Marjorie, pielęgniarka robiąca zastrzyki.

Addy skinęła głową.

– Poproś doktora Whartona – rzekła.

Marjorie wzięła ją za rękę.

– Już idzie – oznajmiła.

– Och, szybciej...

Pielęgniarka odgarnęła włosy z twarzy Addy.

– Nie chcę cię martwić, ale do końca jeszcze daleko.

Addy przymknęła oczy.

– Niemożliwe! Już teraz ból jest nie do zniesienia. – Uchyliła powieki, spojrzała przez łzy na przyjaciółkę. – Czyżby z dzieckiem było coś nie tak? – zapytała przerażona. – Chyba byś mi powiedziała, prawda?

– Oczywiście, że tak – zapewniła ją Marjorie.

Addy poszukała wzrokiem oczu przyjaciółki, by się przekonać, czy aby, chcąc ją chronić, czegoś przed nią nie zataja, lecz niczego podejrzanego w nich nie dostrzegła.

– Wracaj do izby przyjęć. Jesteś w pracy.

Marjorie spojrzała w stronę drzwi.

– Słusznie – rzekła. – Tym bardziej że niedaleko stąd był wypadek. Będą ranni.

– To nie zwlekaj. Tam jesteś bardziej potrzebna.

– Mam cię zostawić samą? – zapytała Marjorie z niepokojem.

– Oczywiście. Czuję się całkiem dobrze.

– Zadzwoń do Macka – powiedziała pielęgniarka, wyjmując z kieszeni telefon. – Dał mi swój numer, żebym dzwoniła w razie potrzeby.

– Nie ma sensu – zaprotestowała Addy. – On dość już dla mnie zrobił. Obiecuj, że nie zadzwonisz.

Marjorie, widząc reakcję przyjaciółki, wzruszyła ramionami i rzekła:

– No dobrze. – Schowała komórkę. – Niedługo wpadnę zobaczyć, jak się czujesz.

– Dzięki.

Addy poczekała, aż drzwi się za nią zamkną, przykryła dłońmi twarz i rozplakała się, czując nawrót bólów. Błagała Boga, by nie odebrał jej dziecka. Tak bardzo pragnęła je mieć, choć wiedziała, że czekają ją liczne wyrzeczenia.

Podczas tej modlitwy podziękowała Bogu również za to, że Mack tak niespodziewanie pojawił się w jej domu i zrobił wszystko, by uratować życie jej i dziecka.

Gdy wypowiedziała te słowa podziękui, opuściła dłonie i ze zmarszczonym czołem uświadomiła sobie, że wprawdzie zapytała go, kim jest, nie zapytała jednak, po co do niej przyszedł.

Może to jakiś poborca pieniędzy, może notariusz... Nie, to nie miało sensu, bo ani ona nie płaciła żadnych rachunków i nie miała do czynienia z notariuszami, ani nikt z sąsiedztwa. Przyszło jej do głowy, że może po prostu zablądził i wstąpił do niej zapytać o drogę, co nie byłoby takie dziwne, biorąc pod uwagę tutejszą plątaninę ulic i zaułków.

Niepotrzebnie zresztą się nad tym zastanawia i zawraca sobie głowę różnymi przypuszczeniami, bo najważniejsze jest to, że był wobec niej taki uprzejmy i że chciałaby, żeby stale przy niej był. Głupie myśli, wręcz idiotyczne, jeśli się weźmie pod uwagę fakt, że przecież go nie zna. A jednak gdy był przy niej, czy to u niej w domu, czy w pogotowiu, czuła się bezpieczna i bardziej pewna, bez względu na to, co może się wydarzyć. Nie tak bardzo samotna.

Spojrzała na swoje dłonie i przypomniała sobie mocny uścisk jego ręki. Jaki on jest silny, jaki męski! Przecież nawet jej nie znał, a pojechał za karetką do szpitala. Był przy niej, chciał zadzwonić do jej matki.

Dlaczego nie zakochała się w kimś takim jak Mack? – zadała sobie w duchu pytanie. Nie oszukiwałyby jej i nie kłamał tak jak Rob. I chyba nie zachowałby się tak jak Rob, gdy mu powiedziała, że jest w ciąży.

Poczuła dojmujący żal. Zamknęła oczy i rozluźniła się, przygotowując się do następnej serii bólów. Będzie miała moc czasu na żale.

Gruba warstwa chmur przesłoniła księżyc prawie całkowicie i tylko wąska smuga światła przecinała ciemność. Ale Mack nie narzekał ani na mrok, ani na mały ruch na szosie. Cieszył się z tego, bo mógł się oddać własnym myślom.

A Adrianna Rocci, Addy – jak nazywają ją przyjaciele – dała mu sporo do myślenia.

Nieplanowana ciąża. Nieodpowiedzialny partner. Niekochająca matka. A teraz jeszcze zagrożone życie dziecka. Ile można znieść?

Tak nie powinno być, orzekł w duchu. Nikt samotnie się z tym nie upora. Powinna mieć męża albo przynajmniej jakąś rodzinę, która zapewniłaby jej fizyczne i moralne wsparcie. Przecież ta kobieta przez następne sześć tygodni będzie musiała leżeć w łóżku! Kto zadba o jej dom? Dostarczy pocztę? Zapłaci rachunki? Kto będzie przy niej siedział, żeby nie czuła się opuszczona? Trzymał ją za rękę, żeby się nie bała? Kto będzie przy niej w czasie porodu?

Zmrużył oczy, patrząc na autostradę przed sobą i marząc o tym, by dopaść Roba. Kastracja to byłby najłagodniejszy wymiar kary! Porzucić kobietę w ciąży! Tak, to w jego stylu. Seks i ucieczka – oto jego model życia. Niedojrzały i nieodpowiedzialny, a uważa się za nie wiadomo kogo! Niestety dziewczyny na niego lecą. Dlaczego? Jest przystojny, umie czarować, uwodzić. Tak jak ojczym Macka...

Zmarszczył brwi na jego wspomnienie. Jacob Bodean był nikim, gdy poznał matkę Macka. Niedawno owdowiała, wciąż jeszcze w żałobie, była łakomym kąskiem dla takiego drania jak Jacob. Wykorzystując jej słabość, w ciągu dwóch miesięcy skłonił ją słodkimi słówkami do małżeństwa. Po czternastu miesiącach na świat przyszedł Rob.

Aż sześć lat musiało upłynąć – w ciągu których straciła sporą część fortuny, jaką zostawił jej ojciec Macka – by wreszcie zrozumiała, że Jacob zainteresowany był wyłącznie jej pieniędzmi. Kolejna część jej fortuny poszła na to, by się go pozbyć i zyskać wyłączność do opieki nad Robem. Mack nieraz się zastanawiał, czy nie postąpiłaby lepiej, pozbywając się ich obu.

Ale Rob był jej dzieckiem, o czym matka często mu przypominała, i Mack, czy mu się to podoba, czy nie, jest za niego odpowiedzialny. Na łożu śmierci matka wymogła na nim obietnicę, że będzie się opiekował swoim przyrodnim bratem. Fundusz powierniczy pod jego zarządem dodatkowo go do tego obligował.

Upływ lat nadwreżył znacznie zarówno stronę finansową, jak i uczuciową przyrodnich braci.

Rob przysporzył Maćkowi wielu zmartwień i kłopotów i Mack miał szczerze dość brata i jego problemów. Do licha, myślał, Rob ma już przecież trzydzieści lat. Najwyższy czas się urządzić w życiu i odpowiadać za własne błędy.

Westchnął głęboko i pomyślał, że zamiast się zajmować Robem powinien pomóc Addy. A Addy naprawdę tej pomocy potrzebowała.

Klepnął się po kieszeni, w której schował czek. Zamierzał go jej wręczyć, dając tym Robowi do zrozumienia, jaka jest jego ojcowska powinność. Lecz gdy ujrzał Addy leżącą na podłodze, nie mógł już myśleć o żadnych taktycznych

posunięciach. Żeby tylko nie straciła dziecka!

Musi coś zrobić. Nie może jej przecież tak zostawić. Wyglądała sympatycznie, nie tak jak te wszystkie, z którymi Rob się zadawał. A on, Mack, może zrobić dla niej tylko tyle, że da jej pieniądze. Nie zmusi przecież Roba, żeby się z nią ożenił i dał dziecku nazwisko. Nawet gdyby mógł go do tego nakłonić, to nie zrobiłby Addy takiej krzywdy, wiążąc ją ślubem z takim facetem jak Rob.

Zadzwoił telefon komórkowy.

– Mack, słucham.

– Mówi Marjorie Johnson. Pielęgniarka z pogotowia.

Wyczuł wahanie w jej głosie, domyślił się, że dzwoni w sprawie Addy.

– Czy coś się stało z Addy? – zapytał.

– Nie, wciąż ma bóle. Chciałam być przy niej, ale nie mogę. Jestem w pracy, mam inne obowiązki.

Spojrzał na zegarek i błyskawicznie obliczył w myślach.

– Będę przed drugą.

– Dziękuję – rzekła z ulgą i zaraz dodała: – Ale proszę jej nie mówić, że dzwoniłam. Podsunęłam jej tę myśl i gorąco zaprotestowała, żeby pana nie niepokoić, bo i tak pan już dla niej bardzo dużo zrobił.

– Może pani być spokojna – rzekł. – Dochowam tajemnicy.

W informacji podano mu numer sali. Leżała pod oknem, tyłem do drzwi. Drobna, wąska w ramionach i biodrach. Nikt by nie poznał, że jest w ciąży.

Myślał, że śpi, ale zaraz usłyszał jęk i zobaczył, jak zacisnęła palce na materacu. Odczekał chwilę i powiedział:

– Addy?

Spojrzała przez ramię. Jej oczy wyrażały zdziwienie.

– Mack?

Był to prawie szept, ale wyczuł ulgę w jej głosie i zrobiło mu się przyjemnie. Podeszedł do łóżka i wziął ją za rękę.

– Myślałam, że poszedłeś do domu – powiedziała.

– Zawróciłem – wyznał, wzruszając ramionami. – Pomyślałem sobie, że nie mogę opuścić tak ważnego wydarzenia.

Spojrzała nań podejrzliwie, zmrużywszy oczy.

– Marjorie dzwoniła do ciebie?

Odpowiedział pytaniem na pytanie:

– Jak się czujesz?

– Chyba dobrze. – Łzy podeszły jej do oczu. Potrząsnęła głową. – Boję się, Mack. Nigdy w życiu się tak nie bałam.

Obiema rękami ujął jej dłoń.

– Wszystko będzie dobrze. – Ogarnął wzrokiem bogate wyposażenie sali. – Tyle tu techniki, prawdziwie kosmiczna era. Poród w takim miejscu...

Skinęła głową.

– Trochę tego za wiele, nie uważasz?

– Ciekawe, czy wszystkie pacjentki mają tutaj takie udogodnienia, czy tylko pracowniczki szpitala.

Roześmiała się.

– Nie wiem. Nigdy nie byłam pacjentką.

Chciała coś jeszcze powiedzieć, otworzyła już usta, ale przymknąwszy oczy, jęknęła tylko. Ścisnął jej dłoń.

– Nawrót bólu?

Skinęła głową.

Usiłował sobie przypomnieć wskazówki ze szkoły rodzenia, do której uczęszczał wraz z żoną.

– Patrz na mnie! – polecił.

Posłusznie utkwiała w nim wzrok.

– Oddychaj głęboko – poinstruował ją. – Współpracuj z bólem, nie walcz z nim.

Obserwował, jak nabiera powietrza, wypuszcza, znowu nabiera. Nieświadomie robił to samo, a nawet czuł ból. Po pewnym czasie, który wydawał mu się wiekiem, rozluźniła uścisk na jego dłoni i westchnęła głęboko.

– Lepiej? – zapytał.

Zwilżyła wargi i potwierdziła gestem głowy.

– Teraz będą częstsze, silniejsze – powiedziała.

– Jesteś dzielna. Jeszcze trochę i dziecko będzie jak złoto.

– Przytrzymaj mnie...

Była spięta, oczy miała szeroko otwarte. Bez namysłu położył rękę na jej brzuchu i wyczuł, że zaraz nastąpi kolejny atak bólu.

– Rozluźnij się – rzekł, masując ją delikatnie.

Spojrzała na niego z niechęcią. Usiłowała go odsunąć, jakby to on był bólem.

Nie zważając na te jej wysiłki, powiedział:

– Próbuje, damy radę.

Potrząsnęła głową.

– Może ty dasz, ale nie ja... To boli!

– Przejdzie. – Nacisnął mocniej jej brzuch. – Śmiało, Addy. Spójrz na mnie. No, śmiało!

Wytrzeszczyła oczy, uchyliła usta.

– Nienawidzę cię! – warknęła. – Jesteś okropny, podły, idź do diabła i zostaw mnie wreszcie w spokoju!

Mack nie przejmował się, wiedział, że to pusta gadanina. Jego żona też mu wymyślała, nawet gdy dziecko się już rodziło.

– Możesz sobie nienawidzić – powiedział. – A ja i tak nigdzie nie pójde. Damy radę. Oddychaj głęboko.

Próbowała odtrącić jego rękę i raptem usiadła. Oczy miała szeroko rozwarte, a palce wpiła w jego dłoń.

– Już! – wrzasnęła. – O Boże, gdzie pielęgniarka?! Dziecko!

Mack odszukał i nacisnął guzik alarmowy. Po kilku sekundach do sali wpadła pielęgniarka. Rzuciła okiem na twarz Addy.

– Co ile minut są bóle? – zapytała, badając jej puls.

Mack przetarł dłonią twarz, szczęśliwy, że pielęgniarka przyszła.

– Co minutę – odparł.

W drzwiach stanął lekarz.

– Jak się czuje moja ulubiona pacjentka? – zapytał.

– A jak pan myśli? – odparował Mack ze złością. – Cierpi jak wszyscy diabli i powinna dostać jakiś środek przeciwbólowy.

– Nie! – krzyknęła Addy, obejmując dłońmi brzuch. – Żadnych tabletek!

Lekarz spojrzał na Macka i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Sam słyszałeś”, po czym uniósł prześcieradło, by sprawdzić sytuację.

– Widać już główkę – rzekł. Podbiegł do zlewu i zaczął przemywać dłonie środkiem dezynfekującym. Spojrzał na Macka. – Jeśli jest pan ojcem, proszę myć ręce, jeśli nie, to na końcu korytarza jest poczekalnia.

Addy wyciągnęła ramię, chcąc chwycić Macka za rękaw. Obejrzał się i dostrzegł w jej oczach strach i błaganie. Zrozumiał, że nie ma siły, która by sprawiła, że zostawi ją samą w chwili narodzin dziecka.

– Gdzie mam umyć ręce?

Mack siedział na fotelu przy oknie. Wyciągnął nogi, głowę wsparł o poduszkę i patrzył w sufit. Był zmęczony, ale nie mógł spać. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach, adrenalina pobudzała ciało. A wszystko przez tę małą ludzką istotkę zawiniętą w niebieskie prześcieradło, śpiącą spokojnym snem w

wózku nieopodal.

Spojrzał w tamtym kierunku i serce w nim drgnęło. Chłopak, stwierdził w duchu, pokonując wzruszenie. Malutki, ale zdrowy jak koń. Były obawy, że dziecko będzie słabe, ale przeszło wszystkie testy niczym sportowiec przed zawodami i nie umieszczono go w inkubatorze, co było udziałem większości wcześniaków.

Nie mógł sobie tego odmówić. Wstał z krzesła i podszedł do dziecka. Różowe policzki, nosek jak guzik. Ciemny meszek pokrywał jego główkę, ale Mack wiedział z doświadczenia, że meszek zniknie i małemu wyrosną włoski o całkiem innej barwie. Jego syn zaraz po urodzeniu miał włosy czarne jak smoła, a gdy skończył dwa lata, był jasnym blondynem. Ciekawe, jakie by miał teraz, gdyby żył.

Opuścił głowę. Nie chciał myśleć o swoim synu. Nie teraz. Te wspomnienia go bolały. A tyle już lat minęło...

Westchnął ciężko i odsunął je, by móc wrócić myślą do tego dziecka tuż obok.

Uśmiechnął się. Pełen zachwytu nad chłopcem, opuszką palca dotknął jego policzka.

– Jesteś szczęściarzem – szepnął. – Masz taką dzielną matkę.

Cierpiała, myślał, ale nie chciała zażyć żadnej tabletki, bo się bała, że mogłaby zaszkodzić dziecku. Pogłaskał drugi policzek małego.

– Wierz mi, taka miłość rzadko się zdarza – powiedział do niego.

Chłopczyk skrzywił się, jakby się miał zaraz rozpłakać.

– Tylko nie to! – ostrzegł go Mack, biorąc dziecko na ręce. – Chyba nie chcesz obudzić mamy, prawda?

Kołysząc chłopca w ramionach, usiadł na fotelu. Maluch rozejrzał się, ziewnął i z piąstką przy policzku znów słodko zasnął.

Mack patrzył na niego i serce w nim najpierw zamarło, a potem zaczęło mocno bić. Tak bardzo był podobny do jego syna. Przyszło mu na myśl pytanie, czy to dziecko nie stanowi odpowiedzi na nękający go ostatnio problem.

Prześladowała go wciąż myśl o śmierci. Oznaka, że się starzeje, choć przecież miał dopiero czterdzieści dwa lata. Śmierć jest nieodłączną towarzyszką życia, myślał, i najwyższa pora napisać testament, bez względu na stan zdrowia i wiek. Prosta sprawa. Wystarczy zadzwonić do adwokata. Od sporządzenia ostatniej woli powstrzymywał go brak spadkobierców. Mężczyźni przepisują majątek na dzieci, żonę, a Mack nie miał ani żony, ani dzieci.

Przed dwunastoma laty stracił żonę i syna w wypadku samochodowym i nie ożenił się powtórnie. Przez pierwsze lata nie mógł dojść do siebie i nie w głowie

mu była żeniaczka. A nawet i później nie miał ochoty umawiać się z kobietami. Pytany o to mówił, że nie spotkał takiej, która przypadłaby mu do gustu. Lecz prawda była taka, że nie chciał spotkać. Utrata żony i syna odmieniła go, pozbawiła marzeń o miłości. Dożył więc czterdziestu dwóch lat bez rodziny, poza przyrodnim bratem, który był jego jedynym krewnym.

Zmarszczył brwi na wspomnienie Roba. Do diabła, myślał, jeżeli zapisze mu majątek, który wypracował wspólnie ze swoim ojcem, Rob przepuści go w ciągu roku. Dla niego ważne było tylko to, co sprawia przyjemność, między innymi bez troskie wydawanie pieniędzy.

Nie, nie przekaże majątku Robowi.

Mack ponownie utkwiał wzrok w dziecku, zastanawiając się, czy ten chłopiec może stanowić rozwiązanie jego problemu. Mógłby go adoptować. Wychować jak własnego syna, wpoić mu zasady moralności i prawości, czego po takim człowieku jak Rob raczej nie można było się spodziewać.

Robowi nie zależało na synu. Gdyby mu zależało, inaczej by się zachowywał. Gdyby się poczuwał do jakiegokolwiek odpowiedzialności, byłby przy Addy, gdy rodziła, i jemu, nie Maćkowi, lekarz powierzyłby przecięcie pępowiny, które stanowiło akt pasowania dziecka na obywatela tego świata.

Adopcja dziecka przez Macka rozwiązałaby niejedną problem kilku osób. Chłopiec miałby ojca, Rob – wolną rękę, a Mack – spadkobiercę.

Pozostałby tylko jeden nierozwiązany – matka chłopca.

Mimo łączących ich od niedawna więzów wątpił, by się zgodziła na adopcję swojego dziecka. Uznałaby najpewniej, że postradał zmysły.

– Mack?

Drgnął na dźwięk jej głosu. Uniósł głowę; patrzyła na niego z ciekawością.

– Czy *coś* się stało? – zapytała z niepokojem.

Lękając się, że wyczyta coś z jego myśli, opuścił wzrok na dziecko i niby to poprawił kocyk przy jego szyjce.

– Nie, pomyślałem tylko, że gdybym się nim zajął, mogłabyś sobie dłużej pospać.

Wyciągając ramiona, czule się do niego uśmiechnęła.

– Daj mi go. Chyba jest głodny.

Podał jej chłopca.

Wyczuwając smak matczynego mleka, mały otworzył buzię niczym ptaszek oczekujący niesionego w dziobie matki pokarmu.

Addy roześmiała się, kładąc palec na nosku dziecka.

– Widzisz – rzekła – jaki jest głodny. – I zaczerwieniła się na myśl o karmieniu piersią w obecności Macka.

– Poczekam na zewnątrz – powiedział i ruszył w stronę drzwi.

– Nie, nie odchodź!

Spojrzał przez ramię, zdziwiony lękiem w jej głosie.

– Odwróć się tylko, dopóki się nie przygotuję.

Zrobił tak, jak prosiła, a ona po chwili powiedziała: – Już.

Przysunął się do łóżka, patrząc na matkę i dziecko przysłonięte pieluszką.

– Ciekawe, jak dziecko wyczuwa, co jest dla niego najważniejsze.

– To prawda – rzekła z uśmiechem.

Milczeli, przyglądając się małemu ssącemu pierś.

– Mack?

Wyrwany z zamyślenia spytał:

– Słucham?

– Przepraszam.

– Za co? – zapytał ze zdziwieniem.

– Za to wszystko, co mówiłam w czasie porodu.

– Wiem, że w bólu mówi się różne rzeczy.

– Mimo to przepraszam. Nie mam pojęcia, co bym bez ciebie zrobiła.

– Nie przesadzaj. – Roześmiał się. – Ja się nie liczę. To ty wykonałaś ciężką robotę.

Popatrzyła z uśmiechem na dziecko.

– Ale jaką mam nagrodę! Piękny zdrowy chłopak. Czego mi więcej potrzeba?

– Jest super, to fakt.

Drzwi się otworzyły i weszła Marjorie. Skinąwszy głową Maćkowi i Addy, spojrzała na dziecko.

– Kawał chłopca z niego – rzekła.

Addy odsunęła chłopca od piersi, pokazując go Marjorie w całej krasie.

– Piękny? – zapytała.

– Fantastyczny – przyznała pielęgniarka. – Wybrałaś mu już imię?

– Nie. Wybrałam imię dla dziewczynki. Nie sądziłam, że będzie chłopiec.

– Myślałam, że dasz mu imię swojego ojca.

– Pierwsze na pewno – powiedziała. – Ale nie wiem, jakie drugie pasowałoby do Antonia.

Marjorie spojrzała na Macka i zapytała go po chwili:

– Jak brzmi twoje pełne imię i nazwisko?

Zaskoczony Mack zamrugał oczami i wyjąkał:

– Jonathan Michael McGruder.

Marjorie spojrzała na Addy.

– A co byś powiedziała na Antonio Michael Rocci? – zapytała.

– Wołałabym tak – Jonathan Antonio Rocci – odparła Addy.

– Świetnie. Mogłabyś mu mówić Johnny.

– Jonathan Antonio Rocci – powtórzyła Addy, jakby smakując brzmienie całości. – Długie to, ale podoba mi się. – Spojrzała na Macka. – Miałbyś coś przeciwko temu, żebym dała mojemu dziecku twoje nazwisko? – zapytała.

Przeciwko? Przecież właśnie miał nadzieję, że ją do tego namówi.

– Czuję się zaszczycony – oznajmił.

Zadzwoił pager w kieszeni Marjorie. Wyłączyła go.

– Dziesięciu minut nie mogą beze mnie wytrzymać – mruknęła, po czym uśmiechnęła się do Addy. – Przepraszam, przyjdę później, w czasie przerwy obiadowej.

– Przedtem zadzwoń – rzekła Addy. – Mam nadzieję, że doktor Wharton pójdzie mi na rękę.

– Posłuchaj mnie, dziewczyno – powiedziała Marjorie.

– Masz dziecko. Nie ma sensu, żebyś wracała do pustego domu. Zostań tu z małym pod naszą troskliwą opieką.

– Dam sobie radę sama.

– Ale...

– Nie, Marjorie – przerwała przyjaciółce. – Chcę już być w domu.

– Uparta jak osioł. Wcale mnie nie słucha – rzuciła do Macka, wychodząc.

Mack zachował spokój podczas tej wymiany zdań, zastanawiając się, jak najlepiej wykorzystać tę sytuację. Zdawał sobie sprawę, że pomyśli, by on zaadoptował dziecko, natrafiłby na gwałtowny sprzeciw Addy. Wpadłaby w szal. Lecz im dłużej on o tym myślał, w tym większym utwierdzał się przekonaniu, że byłoby to najlepsze wyjście z sytuacji, zarówno dla niego, jak i dla niej.

Musi ją tylko teraz o tym przekonać.

Począł, aż za Marjorie zamknęły się drzwi, i powiedział:

– Ona ma rację, jak sama zresztą wiesz. Nie ma sensu, żebyś wracała do domu, skoro tu masz wszelką niezbędną ci pomoc.

Zacisnąwszy usta, owinęła dziecko prześcieradłem.

– Marjorie zawsze wtyka nos w nie swoje sprawy.

Mack widząc, że Addy niesie dziecko z powrotem do łóżka, wstał z miejsca.

– Daj mi go – rzekł. – Chcę tylko twojego dobra – dodał.

Addy skrzyżowała ramiona na piersi.

– Sama umiem o siebie zadbać – rzekła.

Spojrzał na nią przez ramię.

– Tak jak wczoraj wieczór, gdy cię odnalazłem?

Otworzyła usta i zaraz zamknęła. Wszystka krew odpłynęła jej z twarzy.

Mack wiedział, że to było podłe z jego strony, ale tylko w ten sposób mógł jej uświadomić, że naprawdę potrzebowała pomocy.

Usiadł obok niej na łóżku.

– No dobrze – zaczął – jesteś samodzielna, ale co będzie, jeśli zachorujesz? Kto się wtedy zajmie dzieckiem?

Przygryzła wargi.

– Poradzę sobie.

– W jaki sposób? – naciskał. – Matka na pewno nie przyjdzie ci z pomocą. Rozmawiałem z nią. Kończąc rozmowę, powiedziała: „Sama nawarzyła sobie piwa, sama musi je wypić”.

Addy spuściła wzrok, ale zdążył zauważyć łzy w jej oczach. Położył rękę na jej ramieniu.

– Nie chcę ci robić przykrości, Addy – powiedział. – Staram się tylko uświadomić ci, że sama nie dasz sobie rady.

– Nie mam wyboru – rzekła.

To właśnie Mack chciał usłyszeć.

– Masz, bo ja chcę ci pomóc.

Spojrzała na niego.

– Ty? Dlaczego? Przecież nawet mnie nie znasz.

Wytrzymał jej wzrok.

– Znam cię bardziej, niż ci się wydaje.

Była wyraźnie stropiona jego słowami, doszedł więc do wniosku, że najwyższy czas wszystko jej powiedzieć.

– Wiem – zaczął – że ojciec dziecka nie zamierza się zająć ani tobą, ani małym.

– Skąd wiesz? – zapytała.

– Wiem – odparł z całym spokojem. – Znając jego przeszłość, śmiem twierdzić, że nigdy już nie usłyszysz o Robie Bodean.

Spojrzała nań ze zdumieniem.

– Znasz... Roba?

– To mój przyrodni brat.

– Twój... – Zaniemówiła i przełknęła głośno ślinę. – Chcesz przez to powiedzieć, że wiedziałeś już przedtem o mnie i o dziecku?

– Tak. Listy od ciebie dostarczano na adres mojego domu.

Patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami.

– Czytałeś je?

– Tak – przyznał. – Ale nie od razu. Dopiero gdy nadszedł trzeci list, postanowiłem otworzyć kopertę i dowiedzieć się, w jakie to Rob popadł tarapaty. – Potrząsnął głową ze smutkiem. – Nie jesteś zresztą pierwszą osobą usiłującą do niego dotrzeć. Czytałem twoje listy, znam problem.

Przykryła dłońmi twarz.

– O Boże! – jęknęła.

Dotknął jej ramienia.

– Nie chciałem cię wprawić w zakłopotanie...

Uniosła głowę gwałtownym ruchem.

– To dlaczego to zrobiłeś? Nie jestem głupia. Zdaję sobie sprawę, że Rob nie wróci do mnie. – Odsunęła jego dłoń. – Nie musiałeś przyjeżdżać do Dallas, żeby mi to powiedzieć.

– Nie po to tu jestem. Przyjechałem tu, bo chcę ci dać pieniądze.

Zamurowało ją.

– Powiedz Robowi, że nie chcę tych jego cholernych pieniędzy.

– To nie są pieniądze Roba, tylko moje.

– Twoich też nie chcę. I nie pokazuj mi się więcej na oczy. Nie chcę cię więcej widzieć. Nigdy.

Rozdział 3

Stracił szansę przekonania Addy, by mu pozwoliła adoptować dziecko. Nie oznaczało to jednak, że zrezygnował. Nie zwykł godzić się z porażką po pierwszej klęsce.

Bitwa dopiero się zaczęła.

Patrząc z dystansu, rozumiał, jakie błędy popełnił. Przede wszystkim nie powinien był mówić, że Rob jest jego przyrodnim bratem. Domyślał się przecież, co czuła, skoro Rob ją porzucił. Na pewno nie zechce mieć nic wspólnego z choćby najdalszym jego krewnym. Drugim błędem było przyznanie się, że przyszedł do niej, by dać pieniądze. W ciągu tak krótkiego czasu zdążył się przekonać, że była dumna. Ofiarowanie jej pieniędzy odebrała jak obrazę, wymierzony policzek. Bo jej na pieniądzach nie zależało. Kobiety tego pokroju kierują się sercem. Dla miłości poświęcą wszystko, nawet majątek. Skąd Mack miał tę pewność, nie wiedział, ale głowę by dał, że Addy taka właśnie jest.

A skoro tak, to pograżył się w jej oczach i trudno mu będzie to odkręcić. Postanowił jednak walczyć i zrobić wszystko, co w jego mocy, by zmienić swój wizerunek i naprawić to, co zepsuł.

Po powrocie do hotelu, w którym się zatrzymał, wykonał kilka telefonów: do adwokata, wyjaśniając mu sedno sprawy i prosząc o pomoc, do pastora, do banku i w końcu do najlepszego przyjaciela, który był osobą powszechnie znaną i szanowaną w rodzinnym mieście Macka.

Otrzymawszy zapewnienie tych osób, że będą go wspierać, zadzwonił do lekarza Addy, którego ona znała i ceniła. Ostatni telefon wykonał do Marjorie. Szybko jej wyjaśnił, o co mu chodzi, i odetchnął z ulgą, gdy obiecała, że zrobi wszystko, co w jej mocy, by przekonać Addy do jego planów. Rad, że udało mu się ustalić spotkanie na wczesne przedpołudnie następnego dnia, jak nieżywy padł na łóżko, uświadamiając sobie, że dwie doby nie zmrużył oka.

Addy rozejrzała się wokół, sprawdzając, czy nie zapomniała czegoś zapakować. Jej pobyt w szpitalu trwał krótko i niewiele osób zdążyło ją poznać, toteż nie musiała się z nikim żegnać. Marjorie poprzedniego wieczoru wpadła do domu Addy i przyniosła trochę rzeczy dla niej i dla dziecka. Ze szpitala miała do zabrania baloniki od Marjorie, flakon róż podarowany jej przez personel i również od nich duży koszyk z zabawkami i ubrankami dla dziecka. Czekala teraz na doktora

Whartona, żeby ją wypisał, a potem już tylko wezwie taksówkę i do domu.

Spojrzała na zegarek zafrasowana, że doktor jeszcze się nie pojawił. Zazwyczaj miał obchód o ósmej, a minęła już dziesiąta. Sprawdziła, czy mały śpi, i ruszyła ku drzwiom, by wyrzucić na korytarz.

I właśnie wtedy wszedł doktor Wharton.

– Myślałam już, że pan o mnie zapomniał – powiedziała.

Objął ją i razem podeszli do łóżeczka chłopca.

– Jakżebym mógł zapomnieć o mojej ulubionej pacjentce – rzekł z uśmiechem.

– W żadnym razie. – Pochylił się nad chłopcem. – A jak się dziś czuje mój nowy mały pacjent?

– Świetnie – odparła Addy. – W nocy obudził się raz do karmienia.

– Musi mu smakować mleko matki – powiedział lekarz.

– Na to wygląda – potwierdziła Addy.

Spojrzała przez ramię na drzwi i oczy stanęły jej w słup na widok Macka.

– Co ty tu robisz? – zapytała.

Ignorując to pytanie, Mack zwrócił się do doktora:

– Cześć, Tom. Mam nadzieję, że znajdziesz dla nas trochę czasu.

Addy, zdumiona owym poufałym zwrotem Macka, zainteresowała się:

– Dla nas? – dopytywała się.

– Tak. Musimy porozmawiać.

Otworzyły się drzwi i weszła Marjorie.

Addy spojrzała pytająco na Macka.

– Ona też ma wziąć udział w tej rozmowie? – zapytała.

– Tak, bo ona też może ci pomóc.

– W czym? – zapytała Addy z rosnącym rozdrażnieniem.

– W rozwiązaniu twoich problemów.

– Moim prawdziwym problemem jesteś ty – rzekła z wściekłością.

– Addy – zaczęła Marjorie spokojnie, ale z przyganą w głosie. – Wysłuchaj przynajmniej, co Mack ma ci do powiedzenia.

Zanim Addy zdążyła poradzić Marjorie, by pilnowała swoich spraw, do rozmowy włączył się doktor Wharton.

– Marjorie ma rację, Addy. Wysłuchaj, co Mack chce ci powiedzieć.

Addy skrzyżowała na piersi ramiona i obrzuciła Macka gniewnym spojrzeniem.

– Zgoda. Masz dwie minuty i ani sekundy dłużej.

– Wyjdź za mnie za mąż – powiedział Mack.

– Co?! Czyś ty oszalał?

– Nie, zapewniam cię, że jestem absolutnie zdrowy na umyśle. A poza tym jestem człowiekiem bogatym. Tobie i dziecku zapewnię taki poziom życia, jakiego nigdy byś nie osiągnęła.

Już mu chciała powiedzieć, co myśli o tym jego poziomie życia, gdy uniósł dłoń stanowczym gestem.

– Wysłuchaj mnie, proszę. Nie proponuję ci tradycyjnego małżeństwa, nie będę od ciebie wymagał ani seksu, ani miłości. Chcę ci pomóc i dać dziecku nazwisko. Chcę go adoptować i traktować jak własnego syna. Mój dom jest na tyle duży, by zapewnić ci prywatność, a gosposia będzie gotowała i dbała o twoje i dziecka potrzeby. Jeśli kiedyś w przyszłości – ciągnął – ten układ przestanie ci odpowiadać albo poczujesz się w jakiś sposób zagrożona, anuluję go prawnie, ale chłopiec nadal będzie otrzymywał pomoc finansową.

– Dlaczego, skoro nie będziemy razem mieszkać?

Jej ostry ton nie zachwiał jego spokoju.

– Z tej samej przyczyny, dla której proponuję ci małżeństwo – rzekł. – Chcę mu zapewnić stałą opiekę.

Podniósł rękę, gdy chciała mu przerwać, i mówił dalej:

– Gdy zaadoptuję twojego syna, będzie to oznaczało nie tylko wsparcie finansowe, ale i moralne. Będę miał takie same prawa do twojego syna jak rozwiedziony z jego matką ojciec. Będę mógł uczestniczyć w jego planach na przyszłość, w jego życiu. Dopilnuję, by wyrósł na człowieka uczciwego i godnego szacunku.

Addy była pełna podziwu dla niego, że wykazywał taką troskę o jej syna, ale przecież chyba nie sądził, że zgodzi się na taką dziwną propozycję.

– Czy ty sobie zdajesz sprawę, o czym mówisz? – zapytała, po czym spojrzała na doktora Whartona i Marjorie, jakby czekając na ich reakcję. – On prawdopodobnie uratował życie moje i dziecka, ale nigdy przedtem go nie widziałam. Waszym zdaniem powinnam za niego wyjść? – zapytała z niedowierzaniem. – Czy wyście wszyscy oszaleli?

– Mack udowodnił swoją prawdomówność – oświadczyła Marjorie. – Nie musiał jechać za ambulansem do szpitala, ale jechał. I nie musiał znowu jechać do Dallas, gdy zadzwoniłam do niego, że zaczęłaś rodzić. Tak – przyznała z pochyloną głową. – Zadzwoniłam do niego.

– Był, gdy dziecko się rodziło – wtrącił doktor, podejmując temat. Spojrzał na Addy wymownie. – Poprosiłaś go o to, jeśli dobrze pamiętam.

Rozłożyła ramiona bezradnym gestem.

– Bredziłam od rzeczy. Byłam nieprzytomna z bólu. Sama, obca tu. Stąd ta prośba do całkiem nieznanego mi mężczyzny.

– Rozumiem, że jesteś zaskoczona moją propozycją – rzekł Mack.

– Zaskoczona? – powtórzyła podniesionym tonem, spoglądając na niego groźnie. – Raczej oburzona i wstrząśnięta.

Nie zwracając uwagi na jej słowa, Mack mówił dalej:

– Żeby uspokoić twoje obawy, które masz prawo mieć, postarałem się o odpowiednie referencje. – Podeszedł do drzwi i otworzył je na oścież. – Panowie – zaczął, czyniąc ręką zapraszający gest – bądźcie uprzejmi wejść do środka.

Addy wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami patrzyła na czterech mężczyzn przekraczających próg pokoju. Jeden z nich podeszedł do niej z wyciągniętą dłonią.

– Leonard Boyles, prawnik – przedstawił się. – Od lat jestem doradcą prawnym Macka. Mogę panią zapewnić, że on nie jest i nie był o nic oskarżony i nie wszedł w żaden konflikt z prawem. Ma opinię człowieka bez skazy.

Addy patrzyła nań oniemiała.

Krok do przodu uczynił drugi z mężczyzn, osoba duchowna, sądząc po białym kołnierzu, i obiema dłońmi ujął jej rękę.

– Jestem pastor Nolan, moje dziecko – powiedział głosem budzącym zaufanie. – Sprawuję pieczę nad duszą Macka od jego chłopięcych lat i muszę przyznać, że to człowiek ogromnie szlachetny, o czułym i wrażliwym sercu. Jeśli zgodzi się pani za niego wyjść, będę zaszczycony, mogąc udzielić wam ślubu.

Nim Addy zdołała coś powiedzieć, stanął przed nią trzeci dżentelmen.

– Jack Phelps – rzekł, potrząsając energicznie jej dłonią. – Prezes Banku Handlowego. Mack, podobnie jak przedtem jego ojciec, jest naszym głównym udziałowcem. Potwierdzam jego wysoki finansowy status, jak również fakt, że jest szanowanym członkiem naszej społeczności.

Udało jej się tylko skinąć twierdząco głową. Następny stanął przed nią gruby i wielki mężczyzna o tak przyjacielskim spojrzeniu, że wszelkie jej obawy minęły.

– A więc pani jest tą Addy – powiedział, ściskając jej dłoń swoją wielką niedźwiedzią łapą. – Oficjalnie jestem doktor William Johnson, ale wszyscy mówią mi Bill. – Spojrzał na małego w łóżeczku, potem znów na nią i zapytał z uśmiechem: – Mogę wziąć dziecko na ręce? Nie obudzę go. Mam doświadczenie z małymi pacjentami.

– Proszę – powiedziała niepewnie.

Obserwowała, jak podniósł chłopca i zakołysał w ramionach.

– Jesteś słodki – mruknął, po czym uniósł na nią wzrok. – Wyobrażam sobie,

jaka pani musi być z niego dumna – rzekł, patrząc jej w oczy.

Przykryła dłonią usta, czując, że zaraz się rozpłacze.

– Tak, jestem z niego dumna – zdołała z siebie wydusić.

Położył sobie chłopca na ramieniu.

– Niech się pani nie krępuje – powiedział, tuląc ją do siebie. – Płacz dobrze robi. Taka huśtawka nastrojów jest typowa dla młodych matek.

Addy z trudem powstrzymywała łzy.

– Wiem – rzekła, przecierając oczy. – Jestem pielęgniarką. Miałam praktykę na porodówce. Wiem, jak to bywa.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Naprawdę? To oczywiście nie muszę pani mówić, jak ważne są pierwsze tygodnie życia dziecka. Minie trochę czasu, zanim kobieta odzyska siły. Czy wspomniałem już, że jestem pediatrą? – zapytał i z uśmiechem spojrzał na chłopca.

– Czuję, że się z małym zaprzyjaźnimy. Gdy się już pani zdomowi u Macka, proszę się do mnie zgłosić na szczegółowe badania.

– Ale ja...

Znowu ją uściskał, aż zabrakło jej tchu.

– Spodoba się pani w Lampasas. Na pewno.

Addy wyrwała mu się i krzyknęła, zaciskając pięści:

– Czy pan da mi wreszcie dojść do głosu?! Ja nie wychodzę za Macka! Rozumie pan? Ja za niego nie wychodzę!

Marjorie podeszła do niej i chwyciła ją za rękę.

– Addy – szepnęła. – Pomyśl tylko, co on ci zapewnia. Będziesz miała beztrudne życie, nie będziesz musiała pracować. Będziesz siedziała w domu z dzieckiem. Zawsze tego chciałaś. Zaadoptuje twojego syna, da mu nazwisko. Jeśli wyjdiesz za Macka, twój syn nigdy nie zazna upokorzenia, jakie ty musiałaś znosić. Będzie miał ojca. Ludzie nie wezmą go na języki, nie będą szeptać za jego plecami, tak jak to było w twoim wypadku.

Addy zasłoniła dłońmi uszy. Pamiętała wyzwiska dzieci na boisku i szepty dorosłych. Nie chciała, by jej syn cierpiał tak jak wówczas ona. Nie chciała, żeby słyszał takie pytania, jakie padały pod jej adresem: „Gdzie jest twój ojciec? Kim jest twój ojciec? Dlaczego masz inne nazwisko niż twoja matka?”

– Pomyśl tylko, Addy – mówiła Marjorie. – To przecież wcale nie znaczy, że to małżeństwo musi trwać do końca życia. Mack idzie ci na rękę i daje ci możliwość unieważnienia ślubu. Nic zatem nie tracisz, a wszystko zyskujesz.

Addy obróciła się, wciąż zatykając uszy rękami.

– Proszę cię – zaczęła. – Idźcie już sobie. Wszyscy.

Niebawem usłyszała kroki zmierzające w stronę drzwi.

Ktoś dotknął jej ramienia. Uniosła głowę. Obok stał doktor Bill.

Podał jej chłopca.

– Mack to dobry człowiek – powiedział. – Proszę wziąć to pod uwagę w swoich rozważaniach.

Uścisnęła jej ramię i wyszedł. Powstrzymując łzy, przytuliła synka do piersi.

– Och, Johnny – szepnęła. – I co my mamy robić?

Z dzieckiem na ręku wyszła na korytarz i ujrzała tam tych wszystkich, których przed chwilą się pozbyła. Stali prawnik, bankier, pastor... oraz Marjorie i Mack. Nie było tylko doktora Whartona, który pewno musiał wrócić do swoich pacjentów.

Stanowili zwartą grupę oporu.

Uniosła głowę, akcentując tym własne nieprzejednane stanowisko.

– Proszę wejść – powiedziała, wskazując swój pokój.

Poczekwała, aż drzwi się zamkną za Maćkiem, i rzekła, zwracając się do prawnika:

– Zgoda, ale chcę mieć wszystko na piśmie, łącznie z obietnicą Macka dotyczącą unieważnienia małżeństwa.

– Oczywiście – odparł.

– Chcę także pańskiej gwarancji – ciągnęła – że prawnie chronione będą sprawy moje, jak również mego syna.

Uniósł dłoń gestem uroczystej przysięgi.

– Ma pani moje słowo.

Wymienili spojrzenia.

– Słyszał pan, podobnie jak inni tu obecni, wcześniejsze wypowiedzi Macka – mówiła – i mam nadzieję, że każdy spośród was będzie mógł potwierdzić ważność przygotowanego przez prawnika dokumentu. I proszę przyjąć do wiadomości – dodała z naciskiem – że dopilnuję tego, aby byli panowie osobiście odpowiedzialni za los mój i mego syna oraz za to, by Mack wywiązał się ze złożonych mi obietnic. Rozumiemy się?

Panowie potwierdzili skinieniem głowy.

Wzięła głęboki oddech i obróciła się w stronę Macka.

– Domyślam się, że chciałbyś, by ten ślub odbył się jak najszybciej.

– Tak. Teraz.

– Teraz? – powtórzyła. – Ale przecież... potrzebne są dokumenty...

Mack popatrzył na prawnika, który wyciągał z kieszeni jakieś papiery.

– Lenny już ma, co potrzeba.

Addy przeraziła się. Musi mieć przecież czas do namysłu, musi się zastanowić, zebrać myśli.

– A badanie krwi? – rzekła szybko. – Prawo stanowe tego wymaga.

Marjorie uniosła dłoń uspokajającym gestem.

– Załatwione.

– Jak to? – Addy nie posiadała się ze zdziwienia. – Nikt mi nie pobierał krwi.

– Doktor Wharton kazał pielęgniarzowi pobrać ci krew, gdy cię przywieziono do szpitala.

W poczuciu absolutnej bezradności Addy zwróciła się do pastora Nolana:

– Teraz chyba pańska kolej, pastorze. Nie będę już głupio pytać, czy ma pan przy sobie Biblię.

Pastor wyjął z kieszeni niewielką, oprawioną w skórę książkę.

– Nigdy się z nią nie rozstaję – powiedział.

Addy, choć starała się tego po sobie nie pokazać, była wręcz porażona wspaniałością domu Macka. Wyglądał jak tokańskie domostwa, które widziała w różnych kolorowych magazynach. Po obu stronach podjazdu rosły wielkie dęby, których bujne korony tworzyły cień nad drogą, a za domem rozciągały się pagórki porośnięte cedrami i kaktusami wśród skał, wpisując się ciekawie w tło owego domostwa w kształcie litery U.

Mack zaparkował samochód na podjeździe i wziął na ręce Johnny'ego. Addy na drżących nogach podążyła za nim.

Nim Mack sięgnął klamki, drzwi się przed nim otworzyły i stanęły w nich dwie kobiety, z których jedna przez drugą usiłowały wziąć małego na ręce.

– Powoli, moje drogie – rzekł Mack. – Każda będzie mogła go potrzymać.

Ujął ramię Addy i rzekł:

– Przedstawiam ci Zadie, moją kucharkę. Ona praktycznie rządzi tu wszystkim. Lepiej się jej nie narażać, bo można oberwać chochlą.

Słyszając to, wyższa z kobiet postąpiła do przodu.

– Niech pani mu nie wierzy – powiedziała. – Jedyne, która dostała tę chochlą, to on, bo dobrał się do pasztetu, który zrobiłam na kolację. Miło mi panią poznać – dodała z uśmiechem.

– A to jest Mary – rzekł Mack, podchodząc do drugiej.

– Od ósmej do piątej sześć razy w tygodniu ściera kurze w całym domu.

Mary, drobna, ale tryskająca energią, powiedziała, wsparłszy dłonie na biodrach:

– Dam sobie rękę uciąć, jeśli znajdzie pan tu choćby jeden pyłek – Po czym spojrzała na Addy i uśmiechnęła się.

– Witam w domu. Gdy będzie pani czegoś potrzebowała, proszę mi od razu powiedzieć, a ja się tym zajmę.

Przeniosła wzrok na dziecko i wykonała taki ruch, jakby chciała wziąć chłopca na ręce.

– No, no – rzekła Zadie, zastępując jej drogę. – Ja byłam pierwsza. U ciebie w domu są dzieci, u mnie nie.

Z pełnym czułości uśmiechem wzięła dziecko od Macka.

– Co za piękny chłopak – rzekła i spojrzała na swego chlebobawcę. – Jest podobny do tych dzieci, których fotografie wiszą w pokoju pańskiej matki.

– Ma nos pana Macka – oświadczyła Mary i przeniosła wzrok z dziecka na Addy. – Jak się nazywa?

Addy, zszokowana tym niby podobieństwem chłopca do Macka, z trudem wydobyła głos z zaciśniętego gardła:

– Jonathan Antonio Roc... to znaczy McGruder.

– Długie imiona dla takiej drobiny – powiedziała Zadie, chichocząc. – A jak pani na niego woła?

– Johnny – odparła Addy.

– Aha, Johnny. – Zadie przyglądała mu się chwilę, po czym weszła do domu. – Idziemy, panie Johnny Mack. Tu jest bardzo gorąco.

Addy zamruwała powiekami. Johnny Mack? Mary podreptała za Zadie.

– Teraz daj Johnny'ego Macka mnie – rzekła. – Moja kolej.

Addy spojrzała na Macka, jakby nie dając wiary własnym uszom.

– Słyszałeś? One mówią o nim Johnny Mack.

Mack wzruszył ramionami i skierował się do auta po bagaż.

– Tu wielu ludzi ma dwa imiona – rzucił.

– Ale przecież powiedziałam im, że on jest Jonathan Antonio. Dlaczego mówią Johnny Mack?

Postawił walizkę na podjeździe.

– Chyba dlatego, że jest do mnie podobny. – Wyprostował się. – Nie powinno cię to dziwić, bo przecież ja i Rob jesteśmy z jednej matki. Obaj mamy jej nos, wykrój ust.

Addy chrząknęła. Aż do tej pory nie zauważyła między nimi żadnego podobieństwa.

Mack, z walizką w ręku, skierował się ku domowi.

– Jeśli chcesz – zaczął – to powiem im, żeby darowały sobie tego Macka.

– Nie – odparła. – Niech już tak zostanie. Nie mieszajmy im w głowach.

Jakie to w końcu ma znaczenie, pomyślała, podążając za Maćkiem. Każde imię jest dobre.

Liczba pokoi, które Mary przeznaczyła dla Addy, była całkiem spora. Dostała z gustem urządzone sypialnię i łazienkę do własnej dyspozycji z ogromną marmurową wanną. Salon między jej sypialnią a sypialnią Macka zamieniono przed ich przybyciem na pokój dziecienny. Stało w nim łóżeczko, rozkładany stół i fotel na resorach.

Zastanawiała się, jak Mack zdołał w takim tempie to wszystko urządzić, ale zaraz zdała sobie sprawę z absurdu swoich wątpliwości. Już się przecież przekonała, że nie ma dla niego rzeczy niemożliwych i że wszystko zawsze układa się po jego myśli.

Z westchnieniem rezygnacji z dalszych dociekań wstąpiła do pokoju dzieciennego, by sprawdzić, czy mały śpi spokojnie, po czym przez oszklone drzwi swojej sypialni weszła do patio. Otoczone kamiennym murem i oświetlone łagodnym blaskiem przenikającym z zewnątrz obfitowało w różnorodne rośliny, spośród których wyróżniały się smukłe wachlarze paproci. W rogu spływał ze skał potok, tworząc niewielki strumyk, w którym wśród pęków lilii pływały leniwie małe rybki. Plusk spadającej wody pieścił uszy, podobnie jak widok tych cudów pieścił wzrok.

Addy usiadła w fotelu, czując, jak spływa z niej nagromadzone w ciągu dnia napięcie.

Tak, to był męczący dzień – zarówno dla ciała, jak i dla umysłu. Najpierw to stresujące spotkanie w szpitalu z przyjaciółmi i współpracownikami Macka, ich wypowiedzi na jego temat, a potem krótka, oficjalna ceremonia ślubu. Później szybki wypad do jej domu i szaleńcze pakowanie najpotrzebniejszych rzeczy. Mack chciał wynająć odpowiednie służby, które by spakowały wszystko co trzeba i przewiozły do jego domu w Lampasas, lecz Addy nie zgodziła się na to. Nie była pewna, czy wszystko potoczy się po jej myśli, wołała więc, by jej dom pozostał nietknięty, aby w razie czego mogła tam powrócić.

I ta długa podróż z Dallas do Lampasas, przebyta głównie w milczeniu, bo

Addy po porannych przeżyciach nie mogła się zmusić do rozmowy. Wszystkie strapienia jednak minęły, gdy zobaczyła dom. Wprawdzie Mack zapewniał, że dom jest duży i godny jej osoby, ale nie uprzedził, że jest to właściwie pałac, a nie zwykły dom.

Jeszcze większy szok przeżyła, gdy Zadie nazwała jej syna Johnnym Maćkiem. Wyjaśnienia Macka były rozsądne, ale aż nie mogła uwierzyć, że wcześniej nie zauważyła podobieństwa między Robem a Maćkiem.

Myśl o Robie wywołała w niej niepokój. Choć Mack przekonywał ją, że nie musi się Robem przejmować, mimo wszystko bała się, że Rob się pojawi i będzie ją nękać.

Przecież ci dwaj mężczyźni są braćmi, myślała. A jeśli Rob odwiedzi ich niespodziewanie? Na samą myśl o tym wstrząsnął ją dreszcz. Nie chce więcej widzieć Roba na oczy! Może nawet i była w nim zakochana, ale to było kiedyś, nim się dowiedziała, że jest kłamcą i złodziejem.

– Mam nadzieję, że jesteś zadowolona.

Drgnęła na dźwięk głosu Macka, po czym powoli podniosła na niego wzrok, opierając ręce na biodrach.

– Nic z tego nie wyjdzie – rzekła.

Popatrzył na nią z troską w oczach.

– Nie podoba ci się pokój? Są inne, wybierz sobie, który chcesz.

– Nie chodzi o pokój. Ten jest piękny.

– No to w czym tkwi problem?

Spojrzała mu prosto w twarz.

– Zapomniałeś, że ojciec mojego dziecka to twój brat?

– Przyrodni – poprawił ją i rozłożył pytająco ramiona.

– I co z tego?

– Co z tego? – powtórzyła. – Może nam narobić kłopotu. Może nawet próbować odebrać mi dziecko.

Wziął ją pod rękę i posadził z powrotem w fotelu.

– Nie odbierze. Lenny przygotowuje dokumenty w sprawie adopcji. Johnny mocą prawa zostanie moim synem.

– Ale Rob może piętrzyć przeszkody. Zrobi badania DNA, by udowodnić, że jest biologicznym ojcem dziecka.

Mack usiadł obok niej.

– Może, ale po co mu to? Gdy cię zostawił, wiedział, że jesteś w ciąży. Dlaczego miałby udowadniać ojcostwo, skoro uciekł na wieść o ciąży? – Położył

dłoń na jej dłoni. – Niepotrzebnie się martwisz, Addy. Rob nie przyjedzie do Lampasas, nie ma obawy.

– Tego nie wiesz.

– Wiem – rzekł stanowczo. – Rob nie pojawi mi się na oczy. Zrobi wszystko, żeby tego uniknąć. – Cofnął rękę, czując dreszcz, jaki wywołał w niej jego dotyk. – Nie rozmawialiście nigdy na tematy osobiste?

– Raczej nie.

Mack oparł się, wyciągnął nogi i powiedział ostrym tonem:

– Nawet jeśli się tu zjawi, to nie przejdzie przez bramę. Nie zna kodu i żaden mój pracownik mu nie poda. – Pochylił głowę, nie odrywając od niej wzroku. – Jesteś tu bezpieczna, Addy. Ty i twoje dziecko. Nie pozwolę, żeby ktoś was skrzywdził.

Chciałaby mu uwierzyć, ale bała się, że zawiedzie jej zaufanie. Rob, patrząc jej prosto w oczy, okłamywał ją. Mack też może kłamać. W różnych sprawach. Co nim kierowało, że ją poślubił? Chęć zemsty? Czego od niej oczekuje? Czyżby w grę wchodził seks? Ona ma dziecko! A poza tym widział ją w najmniej ciekawej sytuacji. Był przy niej, gdy rodziła.

Wygląda na to, myślała, że naprawdę mu na niej zależy. Mężczyźni, których przywiózł do szpitala, twierdzili, że Mack jest szlachetnym i zamożnym człowiekiem, a on sam przysięgał, że nie zwariował, o co go podejrzewała. I wykazywał szczerą troskę o jej syna.

– Dobrze – powiedziała, po czym uniosła ostrzegawczo dłoń – ale jeśli Rob się tu pojawi, chcę mieć pewność, że nie zbliży się ani do mnie, ani do mojego syna. W przeciwnym wypadku wyjeżdżam. Rozumiemy się?

– Oczywiście. – Wstał, chrząknął i powiedział: – Mam jeszcze trochę roboty papierkowej. Jeśli chcesz, to pooglądaj sobie telewizję.

– Nie – rzekła. – Położę się. To był długi i ciężki dzień.

Przechodząc obok, uściśnięła jej ramię.

– Dobranoc, Addy.

– Dobranoc – szepnęła.

Słuchała potem jego kroków i odgłosu zamykanych drzwi. Gdy została sama, zdjęła bluzkę i spojrzała na ramię, czy został ślad. Nie został, co wprowadziło ją w zdziwienie, bo tak silnie odczuła dotyk jego palców.

Rozdział 4

Ktoś wyrwał ją ze snu. Jęknęła.

– Addy, obudź się.

Z wysiłkiem otworzyła oczy i zdrętwiała z wrażenia: tuż nad sobą zobaczyła zarys czyjejs twarzy. To był Mack, stwierdziła z ulgą.

– Omal nie umarłam ze strachu – rzekła.

– Przepraszam, ale mały jest głodny.

To ją otrzeźwiło. Usiadła błyskawicznie i wyciągnęła ramiona.

– O Boże, nie słyszałam jego płaczu.

Podał jej chłopca.

– Bo nie płakał – powiedział. – Wstałem, by się napić wody, i usłyszałem, że się kręci w łóżeczku. Chciałem go pokołysać, żebyś sobie mogła dłużej pospać.

Rada, że jest ciemno, opuściła ramiączko nocnej koszuli.

– Dzięki za troskliwość – rzekła. – Jestem już wypoczęta i wyspana.

– Nie wydaje mi się – powiedział i nie wyszedł z pokoju, jak tego oczekiwała.

Usiadł na brzegu łóżka i okrył kocem nóżki małego. – Z przyjemnością go kołysałem – dodał. – Przypomniały mi się dawne czasy.

Usłyszała smutek w jego głosie i zapytała:

– Masz dzieci?

– Miałem. Syna. Nie żyje.

– Och, przepraszam – rzekła stropiona.

Wzruszył ramionami.

– To się stało przed dwunastoma laty – powiedział. – Czas goi rany.

Spojrzała na swego syna. Nie wyobrażała sobie, by mogła go stracić. I przyszło jej na myśl, że skoro Mack miał syna, to musiał mieć i żonę.

– Jesteś rozwiedziony? – zapytała nieśmiało.

– Jestem wdowcem. Moja żona i syn zginęli w wypadku. Samochodowym – dodał, uprzedzając kolejne pytanie.

Popatrzyła na jego posmutniałą twarz i uświadomiła sobie ogrom tej straty.

– Musiałeś to bardzo przeżyć.

– Bardzo.

Odwróciła w milczeniu wzrok.

Zapadła cisza. Słysząc było tylko, jak dziecko ssie pierś.

– Przystaw małego do drugiej piersi – poradził.

– Słusznie. Potrzyмай go przez chwilę.

– Oczywiście.

Z wprawą, która by ją zdziwiła, gdyby nie powiedział jej o swoim synu, wziął dziecko na ręce. Wtedy właśnie spostrzegła, że miał na sobie tylko dzinsy. Choć starała się nie patrzeć, zauważyła ciemną linię owłosienia biegnącą od pasa w dół. Chłopcu się odbiło.

– Prawidłowo – rzekł Mack ze śmiechem i oddał dziecko matce.

Wprawdzie mrok zapewniał jej sporą dozę intymności, lecz mimo to dziwiła się sobie samej, że nie wstydzi się karmić synka na oczach Macka. Prawdopodobnie dlatego, że skoro był obecny przy porodzie, to widział już wszystko.

Podniosła głowę i spojrzała nań z zaciekawieniem.

– Czy nie sądzisz, że to niesamowite?

– Co niesamowite?

– To – odrzekła i ruchem głowy wskazała dziecko – że karmię przy tobie.

Wsparł dłonie o materac, jakby chciał wstać.

– Jeśli chcesz, żebym sobie poszedł...

Dotknęła jego ramienia.

– Nie... tylko pomyślałam, że to dziwne, że przed zupełnie obcym człowiekiem...

– Jakim obcym? – zapytał z lekką nutą ironii. – Przecież jestem twoim mężem.

Trochę ją to speszyło.

– Faktycznie – rzekła. – Ale tak czy owak znamy się zaledwie. .. ile? Dwa dni?

– Dwa i pół – sprostował.

Roześmiała się.

– Ogromna różnica – stwierdziła.

– Niektórych ludzi znam znacznie dłużej i znacznie mniej o nich wiem.

– Ooo? – Uniosła brwi ze zdziwieniem. – A co ty wiesz o mnie?

– Że jesteś uparta jak osioł i...

– Pochlebiasz mi – rzekła sucho.

Wsparł się na łokciu.

– Pozwól mi skończyć.

– Chyba nie musisz.

– Owszem, muszę. Jesteś odważna, niezależna, mądra.

– Etam!

– I doskonale potrafisz skrywać własne uczucia. Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Chyba żartujesz. Mówisz to po tym, co ci nagadałam na temat małżeństwa?

– Mówię o emocjach, których nikomu nie okazujesz.

– A jakich to niby emocji nie okazuję?

– Na przykład tych dotyczących twojej matki. Boli cię jej brak troski o ciebie.

Zmieszana odwróciła wzrok. Milczała.

– Nie zasługuje na taką córkę jak ty – ciągnął. – Jesteś lepszą dla niej córką niż ona dla ciebie matką.

Ten komplement nie wiadomo dlaczego rozzłościł ją i zirytował.

– Co ty o tym wiesz! Nie znasz jej.

– Rozmawiałem z nią. To mi wystarczyło.

– Nie zgadzam się z tobą, ale mów dalej. Powiedz mi, *co* twoim zdaniem o mnie wiesz.

– Masz do siebie pretensję, że zaszłaś w ciążę z takim człowiekiem jak Rob.

To wzburzyło ją jeszcze bardziej. Poczula się dotknięta.

– Tak jakbym w ogóle chciała zająć w ciążę... Co ty opowiadasz?!

Uczył dłońią uspokajający gest.

– Źle się wyraziłem. Masz do siebie pretensję, że doszło między wami do zbliżenia. Że dopuściłaś do tego. Mówiąc szczerze, mnie też to trochę dziwi. Bo nie o to ci chodzi...

– Ciekawe. Tak dobrze mnie znasz. Mów dalej, słucham.

– Jesteś zaborcza. Chcesz mieć wszystko. Miłość, małżeństwo, rodzinę.

Spojrzała na niego, zastanawiając się, czy rzeczywiście tak łatwo ją rozszyfrować.

– Na jakiej podstawie tak sądzisz?

– Po pierwsze – twój dom. Kwiaty wzdłuż podjazdu, na ganku doniczki paproci. Przed wejściem karmnik dla ptaków.

– I z tego wywnioskowałeś, że jestem kurą domową? – Odchyliła głowę i roześmiała się. – Bardzo się mylisz.

– Czyżby? To dlaczego urodziłaś dziecko?

– Nie miałam wyboru.

– Kobiety w twojej sytuacji decydują się raczej na aborcję.

– Ja jestem za życiem.

– Bardziej za rodziną – powiedział. – Może i nie chciałaś zająć w ciążę, ale nie zrezygnowałabyś z posiadania rodziny, nawet bez tak ważnego elementu, jakim jest ojciec dziecka.

Zirytowana prawdziwością jego słów rzekła:

– Zgoda, panie Freud. Dość psychoanalizy na ten wieczór. Pora spać.

Wyciągnął ku niej ramiona.

– Położę Johnny’ego do łóżka.

Chwilę się wahała. Chciała mu powiedzieć, że to jej sprawa, ale pomyślała, że skoro chce...

– Dobrze go przykryj.

– Wiem, możesz być spokojna.

Choć była na niego zła, uśmiechnęła się. Musi się do tego przyzwyczaić, pomyślała, tuląc się do poduszki.

Siedząc w fotelu, Addy obserwowała Mary, która biegła z sypialni do pokoju dziecinnego, gdzie przenosiła i układała na półkach rzeczy dziecka. Już tydzień mieszkała u Macka i wciąż nie mogła się nadziwić, że ktoś jej służy.

– Mary – zaczęła z nutą przygany – naprawdę nie musisz tego robić. Wystarczy, że zrobiłaś pranie. Zostaw to. Sama wszystko poukładam.

– To dla mnie żaden problem – odparła. Rozłożyła uprane śpioszki. – Są piękne – powiedziała, tuląc je do piersi. – Przypominam sobie, jak moje dzieciaki były małe.

– Ile ich miałaś?

– Czwooro.

– Czwooro? – powtórzyła Addy, zastanawiając się, jak można dać sobie radę z tyloma, skoro jedno wypełnia cały dzień. – Jak sobie radziłaś?

– To pani nie *wie*? – zapytała, chichocząc. – Każda matka ma po dwie pary rąk.

Addy spojrzała na swojego synka i zmarszczyła brwi.

– Ja mam tylko jedną – powiedziała. – I wystarczy.

W tym momencie w drzwiach pojawił się Mack i... Addy nie mogła uwierzyć własnym oczom. Był w starych, znoszonych butach, w dżinsach i z rozwianym włosiem. Wyglądał chłopięco. Nie ten sam facet z kamienną twarzą, który przed tygodniem ślubował jej miłość i opiekę aż do śmierci.

Odwróciła wzrok. Nie mogła się przyzwyczaić do myśli, że jest jej mężem.

– Zdaniem Mary każda matka powinna mieć dwie pary rąk – powiedziała. – A ja na to, że mnie wystarczy jedna.

– Pewno, że do takiego maleństwa wystarczy. – Podszedł do niej. – Daj mi go. Miałyście go cały ranek, teraz moja kolej.

Dom taty. Mack nie wypowiedział tych słów, ale ona tak sobie pomyślała, gdy, wytarłszy ręce o dżinsy, zbliżał się do dziecka z szerokim uśmiechem na ustach.

Gdy usiadł, mały zaczął grymasić i Mack spojrzał na Addy nieco przestraszony.

– Czy zrobiłem coś nie tak? – zapytał.

– Nie. To pewno kołka. Najadł się.

Mack zaczął masować brzuszek chłopca.

– No już dobrze – mruknął, całując go w czubek główki.

– Masz dobry kontakt z dzieckiem – powiedziała Mary, wychodząc z pokoju.

Cień smutku przebiegł przez twarz Macka. Pewno przypomniał mu się jego syn, pomyślała Addy. Chcąc oderwać go od przykrych wspomnień, przysiadła na brzegu łóżka i rzekła:

– Mary mnie rozpieszcza. Rano uprała rzeczy Johnny’ego, a teraz pewno je prasuje.

Mack, nie odrywając wzroku od chłopca, zaniósł go do łóżeczka.

– Ubóstwia dzieci – powiedział. – Znam ją od tej strony.

Addy, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, zapytała:

– Dawno u was pracuje?

– Czternaście lat. Przedtem pracowała u mojej matki. Zatrudniłem ją, gdy matka zmarła.

– Zadie też pracowała u twojej matki?

– Też. Ale po jej śmierci zaczęła pracować w restauracji w mieście. A ja po stracie żony potrzebowałem kucharki, więc wykradłem ją z knajpy. Jest u mnie już chyba około sześciu lat.

Addy na myśl o smakołykach, jakimi Zadie ją uraczyła, pogładziła się po brzuchu.

– Rozumiem, że ją wykradłeś, ale nie mogę zrozumieć, jak w tych warunkach trzymasz linię – mówiła. – Jeszcze parę dni takiego jedzenia, a będę musiała wrócić do swoich ciężowych sukienek.

– Zadie twierdzi, że jesz jak ptaszek.

– Przecież widziałeś, że wyczyszczam talerz do ostatniego kąska.

– Ale odmawiasz deseru.

Pomyślała o cieście orzechowym z kremem, jakie wczoraj Zadie jej zaserwowała, i aż jęknęła na to wspomnienie.

– Jak mam odmawiać, skoro podtyka mi pod nos takie smakołyki?

– Powiem jej, żeby wyłączyła słodyczne.

– Nie, nic nie mów – zaprotestowała Addy. – Może się poczuć urażona.

Mack spojrzał na nią z ukosa.

– Boisz się urazy Zadie, czy może utraty słodyczy?

Wydęła usta.

– Bezczelny typ – burknęła.

Roześmiał się.

– Dzięki – powiedział.

– Za co? – Spojrzała nań zdziwiona.

– Za przywołanie mnie do porządku. – Utkwił w niej wzrok. – Takie rzeczy się pamięta.

Addy wstrzymała oddech, porażona smutkiem w jego niebieskich oczach. I nagle zapragnęła pogłaskać go po policzku, przegnać ten smutek, cofnąć słowa, które wypowiedziała. Zamiast tego rzekła:

– Daj mi Johnny’ego i idź do swoich zajęć. Na pewno masz sporo roboty.

– Robota może poczekać – rzekł, powstrzymując ją ruchem dłoni. – A ty odpocznij. – Popatrzył na dziecko z uśmiechem. – My z Johnnym w tym czasie pogadamy sobie jak mężczyzna z mężczyzną.

Addy położyła się na szezlongu w patio i zamknęła oczy, poddając się promieniom słońca. Na stoliku obok stała szklanka lemoniady, a przed nią otwarty magazyn, który przed chwilą czytała. Czuła się rozluźniona i było jej dobrze.

Nie przesadziłaby, gdyby powiedziała, że jest jej tu jak w niebie. Dom Macka był komfortowy, jedzenie jak w pięciogwiazdkowej restauracji, a każde jej życzenie było w mig spełniane, jeszcze zanim zdołała je wypowiedzieć. Zadie przyrządzała posiłki, Mary sprzątała i prała, a ona nie musiała nawet ruszać palcem. Jedyną jej powinnością była troska o dziecko, a i tak wszyscy troje chętnie by się nim zajmowali. Młode matki potrzebują odpoczynku, mówiła Mary i znikwała gdzieś z dzieckiem. Dzieci potrzebują odmiany, mówiła Zadie i zabierała Johnny’ego do kuchni, gdzie przed oszklonymi drzwiami ustawiono kojec.

No i Mack. On spośród tej trójki był najgorszy. Gdyby mógł, to spałby na podłodze przy łóżeczku małego. Zanim Johnny otworzył buzię do krzyku, Mack był już przy nim, przewijał go i kołysał, żeby chłopiec nie czuł się samotny. A gdy przynosił Addy syna do karmienia, rzadko się zdarzało, by wychodził z pokoju. Kładł się na łóżku i patrzył, jak mały ssie pierś.

To dziwne, ale zaczęła myśleć o przyszłości z Maćkiem. Rozmowa z nim sprawiała jej przyjemność. Bawił ją i pobudzał intelektualnie. Lecz równie przyjemnie było razem z nim milczeć. Spokój i zapadający zmrok przydawały intymności wspólnie spędzanym godzinom, były jak z marzeń sennych.

Przez tak krótki czas jej pobytu u niego nawiązała się między nimi nie

przyjaźni, którą Addy bardzo sobie ceniła. Rozmawiali, śmiali się, oglądali razem telewizję. Wychodzili razem, a to do stajni, by sprawdzić, jak się miewa klacz, a to do skrzynki po pocztę. Domyślała się, że chciał ją w ten sposób odciągnąć od dziecka, by się oderwała od codzienności, choć ona wolałaby się nie odrywać. Tak czy owak dawał tym świadectwo, że o nią dba.

– Zobacz, co znalazłem.

Drgnęła i obejrzała się. Stał w drzwiach z dzieckiem na ręku.

Spojrzała na niego z marsmem na czole.

– Szanowny panie McGruder, jeśli go obudzisz, to chyba wpadnę w szaf.

– Nie wpadniesz, bo on już nie śpi.

Przesunął nogą krzesło, położył chłopca w łóżeczku, po czym usiadł przy niej. Addy podziwiała zręczność jego ruchów przy obchodzeniu się z dzieckiem.

– Musiałeś być dobrym ojcem – powiedziała i ugryzła się w język. – Przepraszam. Ale robisz to tak ładnie i tak naturalnie, że aż przyjemnie popatrzeć.

– Nie musisz przeproszać. – Obrócił ku niej głowę. – Przypominanie sobie o tym, że byłem ojcem, nie sprawia mi przykrości. Nie wiem zresztą, czy dobrze wywiązywałem się z tej roli. Czasem dopiero po fakcie człowiek sobie uświadamia, jak wielką poniósł stratę.

Skinęła ze smutkiem głową, wyobrażając sobie, jakie myśli go trapią, że gdyby mógł cofnąć czas...

– Jaki był twój ociec? – zapytała.

Wzruszył ramionami z lekka zdziwiony.

– Zabawny. – Śmiejąc się, potrząsnął głową. – Moja matka twierdziła, że najpierw nauczyłem się jeździć konno, a potem chodzić. I chyba jest w tym trochę prawdy. Ojciec wszędzie mnie ze sobą zabierał. Do bydła, na polowania, na ryby. Zabawa czy praca – zawsze razem z nim.

Uśmiechnęła się, zazdroszcząc mu w duchu.

– Byłeś szczęśliwy – rzekła.

– Tak – przyznał i spojrział w dal. – A twój ojciec? – zapytał.

– Nie znałam go. Poległ w Wietnamie.

– Straszne – powiedział ze współczuciem. – A ojczym? – zapytał. – Dobrze ci się z nim układało?

– Zależy, z którym – rzekła.

– To miałaś ich kilku?

– Dokładnie czterech.

– Czterech? – Wytrzeszczył na nią oczy.

– Tak. I w gruncie rzeczy z żadnym z nich nie udało mi się zaprzyjaźnić. Pierwsi trzej szybko odeszli, a z czwartym nawet nie próbowałam.

– Z czwartym – powtórzył, jakby miał kłopot z liczeniem.

Po chwili wahania dodała gwoli jasności:

– Moja matka cztery razy wychodziła za mąż. Cztery razy – powtórzyła.

Zamyślił się, rozważając w duchu możliwość czterokrotnego zamążpójścia.

– Twoja matka i twój ojciec... – zaczął.

– Nie pobrali się. Kiedy matka powiedziała mu, że jest w ciąży, uciekł. Wstąpił do wojska. Nigdy mu tego nie wybaczyła.

Gwizdnął przeciągle.

– To sporo wyjaśnia – rzekł.

– Wyobrażam sobie, co opowiadała o moim ojcu. Nigdy nie wybaczyła Tonyemu Rocci krzywdy, jaką jej wyrządził. Po jego śmierci całą niechęć przelała na mnie.

– Niedobrze – oświadczył. – Nie można cię winić za coś, na co nie miałaś wpływu.

– Powiedz to mojej matce.

– Mogę. Masz jakiś kontakt z rodziną ojca?

– Nie. Matka nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Miała do nich żal, tak samo jak do ich syna.

– Ale dała ci jego nazwisko – powiedział.

– W ten sposób chciała się na nich zemścić. Chciała, żeby świat się dowiedział, jaki z niego drań. Zrobił *jej* dziecko i porzucił ją.

Spojrzał na nią wymownie.

– O co chodzi? – zapytała.

– Powtórka z historii?

Wydeła wargi i spojrzała w bok.

– Częściowo. Ale ja jestem inna. Nie cierpię twojego brata.

– Przyrodniego – przypomniał jej.

– Nieważne. Jedyne podobieństwo między sytuacją mojej matki i moją jest takie, że obie zaszłyśmy w ciążę bez ślubu. Nie dałam mojemu dziecku nazwiska ojca. Nosi moje. I będzie nosił... – obrzuciła go spojrzeniem – jeśli ty go nie zaadoptujesz. Nigdy też za to, co się stało, nie będę miała żalu do mojego syna. To ja popełniłam błąd i ja ponoszę wszelkie konsekwencje. – Spojrzała ciepło na małego. – Nigdy nie będę żałowała, że go mam. – Wyciągnęła rękę, by wziąć Johnny'ego od Macka. Przytuliła nos do policzka synka. – Jak mogłabym żałować,

że mam takie cudo?

Po dłuższej chwili milczenia zaczęła z innej beczki:

– Gdy rodziłam, wydarzyło się coś dziwnego.

– Jakiś obcy człowiek pojawił się w twoim domu? – zapytał.

Zmierzyła go spojrzeniem.

– Nie o tym chciałam mówić. – Z pochmurną miną zapatrzyła się w dal. – Zadzwoiła pewna kobieta. Powiedziała, że nasi ojcowie byli razem w Wietnamie, w wojsku. Wytrąciło mnie to z równowagi, bo rzadko myślę o ojcu.

– Musiał to być dla ciebie wstrząs.

– Tak. A ona zadzwoniła, żeby mnie zapytać o kartkę papieru, którą znalazła w rzeczach ojca. Chciała wiedzieć, czy moja matka dostała podobną od mojego ojca.

– A dostała?

Rozłożyła ramiona.

– Nie mam pojęcia. Jeśli tak, to ta kartka jest pewnie w skrzyni, którą matka po przeprowadzce na Hawaje zostawiła w moim garażu. Pełno tam różnych rupieci. Ze szkoły, z jej poprzednich małżeństw. Wolą, żeby jej mąż nie wiedział, że ona to wszystko przechowuje.

– Skoro wiedziałas coś o tym, dlaczego nie sprawdziłaś?

– Nie miałam okazji. – Oparła się o fotel, masując plecy dziecka. – Czy to mogło mieć jakąś wymierną wartość? – zapytała, myśląc głośno. – Moje pudło jest już stare. Mogłabym kupić sobie coś nowego.

– Pudło? – zapytał zdezorientowany.

– Mój samochód. Ledwo się wszystko trzyma kupy posklejane taśmą.

Roześmiał się.

Spojrzała na niego z ponurą miną.

– Przepraszam – mruknął. – Myślałem, że tylko wieśniacy reperują samochody taśmą.

– Potrzeba jest matką wynalazków – rzekła. – Nieważne zresztą. Swoją drogą głupio jest ludzić się istnieniem czegoś, czego nie ma.

– Tego nie wiesz – powiedział. – Może istotnie coś jest w tej skrzyni.

– Wątpię. Nawet jeśli wysłał jej tę kartkę, to nie musiała jej zachować. Może nie chciała, by coś go jej przypominało.

– Uśmiecha się.

– Słucham?

– Johnny. Uśmiecha się.

Spojrzała na synka.

– Faktycznie – rzekła radośnie i pocałowała chłopca w policzek. – Jesteś najśłodszym dzieckiem na świecie, Johnny Mack. Mama bardzo cię kocha.

– Nadałaś temu oficjalny wymiar – oznajmił.

Spojrzała nań ze zdziwieniem.

– O czym mówisz?

– Powiedziałaś: Johnny Mack.

Rozdział 5

Kobieta nie może mieć przez tak długi czas związanych rąk. Po miesięcznym pobycie u Macka Addy miała już dość.

Kuchnia była domeną Zadie – strzegła jej jak źrenicy oka. Nie pozwalała Addy nawet zagotować wody na herbatę. Mary też odmawiała, gdy chciała jej pomóc w sprzątaniu domu.

Na początku bawiło ją to i dobrze się czuła otoczona taką troskliwością, z czasem jednak zaczęło ją to denerwować i postanowiła z tym skończyć, by nie oszaleć.

Najpierw musi porozmawiać z Maćkiem. A że nie było go ani w sypialni, ani w biurze, poszła do kuchni, gdzie Zadie wyrabiała ciasto. Z dużego garnka na płycie kuchennej wydobywał się smakowity zapach, co skierowało jej myśli na inne tory.

– Co szykujesz? – zapytała, zaglądając do garnka.

– Gulasz – powiedziała. – Pan Mack złożył specjalne zamówienie na tę potrawę.

– Pięknie pachnie – rzekła Addy. Wzięła chochlę, żeby zamieszać gulasz, ale Zadie wyrwała jej łyżkę z ręki.

– Ja tu rządzę – powiedziała, grożąc jej tą chochlą. – Niech się pani nie wtrąca w nie swoje sprawy.

Tego było już za wiele i Addy nie wytrzymała.

– A ja tu jestem panią domu! I nikt mi nie zabroni mieszać ten cholerny gulasz! Zadie cofnęła się o krok, wytrzeszczając oczy.

– Dobrze – rzekła. – Ale niech pani uważa. Pan Mack lubi gulasz w kawałkach, a nie w strzępach.

Addy westchnęła głęboko i zaczęła powoli mieszać mięso. Pamiętając, po co tu przyszła, zapytała:

– Gdzie jest pan Mack?

– Nie wiem – odparła Zadie. – Przed godziną ktoś do niego zadzwonił i pan Mack zaraz potem wyszedł z domu.

– Coś się stało? – zapytała z niepokojem Addy.

– Tego nie powiedziałam. Tylko że zaraz po tym telefonie wybiegł, jakby go kto pogonił.

– A nie wiesz, kto dzwonił do pana Macka?

– Telefony pana Macka to jego sprawa, nie moja – odparła Zadie, wracając do

ugniatania ciasta.

Addy odłożyła chochlę. Była pewna, że Zadie zna odpowiedź na jej pytanie.

– Dzwonił Rob, prawda?

– Pan Rob Bodean? – Zadie przyklepała ciasto. – Pan Mack nie poświęcałby mu swojego czasu. Już dawno zabronił mu tu przychodzić. Rob zawsze żądał forsy, tak jak jego ojczulek. Pan Mack obiecał matce, że będzie mu pomagał, ale w końcu miał tego dość, bo tamten szastał pieniędzmi na prawo i lewo.

– Kiedy wyjechał? – zapytała Addy.

– Znaczy się Rob? – zapytała Zadie.

Addy skinęła głową.

Zadie wydeła usta, wzruszyła ramionami i wróciła do ugniatacia ciasta.

– Będzie dwa lata temu – odparła. – Listonosz powiedział panu Maćkowi o tych listach, co je pani do Roba wysyłała. I pan Mack postanowił wtedy, że wspomże Roba w tych jego kłopotach. Nie chcę pani w niczym uchybić, pani Addy – ciągnęła – ale z tego Roba to straszny babiarz.

– Nie czuję się urażona – stwierdziła Addy.

Zadie odetchnęła z ulgą i mówiła dalej, nie przerywając pracy nad ciastem:

– Fakt faktem, że kiedy pan Mack wyjeżdżał do Dallas, wcale nie zamierzał się żenić i przywozić do domu żony i dzieciaka. Zamierzał panią spłacić, tak jak to miał w zwyczaju z innymi kobietami. – Chichocząc, usiadła obok Addy i złożyła dłonie na fartuchu. – Ale chyba Pan Bóg odmienił jego plany...

– Co masz na myśli?

Zadie spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– No... pan Mack się z panią ożenił i sprowadził do domu panią i dziecko. – Rozwałkowała ciasto z zafrasowaną miną. – Wiem, że to nie moja sprawa – ciągnęła – ale według mnie już najwyższy czas, żeby dzieliła pani łożę z panem Maćkiem. Wiem, że miała pani ciężki poród, pan Mack opowiadał mi o tym, ale teraz dziecko ma już przeszło miesiąc i najwyższa pora, by zacząć spełniać obowiązki wobec pana Macka, a nie sypiać w oddzielnym pokoju. Addy spojrzała na nią zdumiona jej słowami, po czym z pałającą twarzą ruszyła ku drzwiom.

– Dokąd pani tak spieszo? – zawołała Zadie. – Nie dopilnuje pani tego gulaszu?

Mack, chcąc jak najszybciej pokazać Addy to, co dla niej kupił, rzucił kapelusz na kuchenny stół.

– Cześć, Zadie. Gdzie jest Addy?

Zadie ze skrzywioną miną zamknęła piekarnik.

– Skąd mam wiedzieć? – burknęła, unosząc dłonie. – Nikt nigdy mi się nie opowiada. A ona wyleciała z kuchni, jakby ją kto gonił.

Mack uniósł brwi, zdziwiony jej złym nastrojem.

– Jeśli się gniewasz na mnie, że nie powiedziałem ci, dokąd idę, to przepraszam. Spieszyłem się. Musiałem załatwić coś na mieście.

Wsparłszy ręce na biodrach, spojrzała mu prosto w oczy.

– A czy ja pana pytam, gdzie pan był? – Podeszła do lodówki i szarpnęła drzwiczki. – Wszyscy mnie o wszystkich pytają – mówiła. – Jakbym była sekretarką, a nie kucharką. – Obróciła się i dodała, nie tając rozdrażnienia:

– Niech pan już sobie idzie, bo mam obiad na głowie.

Uznał, że bezpieczniej będzie wycofać się z rozmowy, co też uczynił, zamierzając odszukać Addy. Zastał ją w sypialni. Stała przy oszklonych drzwiach ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

– Addy?

Drgnęła, ale nie odwróciła się.

– Słucham – rzekła.

Dłonie miała zaciśnięte, jakby w gniewie. Zastanowił się, czy ma to jakiś związek ze złym nastrojem kucharki.

– Posprzeczałyście się z Zadie? – zapytał.

– Tak ci powiedziała?

Pohamował zniecierpliwienie. Czy te kobiety zmówiły się, by go rozzłościć?

– Nie, ale wywnioskowałem to z jej reakcji na moje pytanie o ciebie.

– Co ci powiedziała?

– Właściwie nic konkretnego. Wyprosiła mnie tylko z kuchni.

Addy spojrzała na niego. Oczy miała pełne łez.

– Stało się coś? – zapytał z niepokojem.

– To moja wina. Krzyknęłam na nią. – Potarła dłonią nos. – Chciałam zamieszać gulasz, a ona wyrwała mi łyżkę i ja... – Opuściła bezradnie ręce, łzy spłynęły jej po policzkach. – Coś we mnie pękło... Mam tego dość... – mówiła. – Nie pozwalają mi nic robić, niczego się tknąć. Zadie, Mary. Traktują mnie jak kalekę albo idiotkę, sama nie wiem, co gorsze.

– Nie chcą, żebyś się przemęczała.

– Przemęczała? – powtórzyła i rozplakała się na dobre. – Jeszcze trochę tej bezczynności, a zamienię się w mumię! Przywykłam do tego, że jestem stale zajęta. W domu, w pracy. Osiem godzin w pogotowiu, to chyba mówi samo za siebie. A

teraz to siedzenie... Chyba zwariuję!

– Mam z nimi porozmawiać? – zapytał.

– Tak. Nie! – Wsparła głowę na dłoniach. – Sama nie wiem. Chcę coś zrobić, obojętne co, a one mi nie pozwalają.

Mack z trudem powstrzymał się od śmiechu.

– Pogadam z nimi – rzekł. – Żeby, kiedy zechcesz...

– Nie... Nic im nie mów! Obiecuj, że nie powiesz, że rozmawiałam z tobą o tym. To znaczy... – Zacisnęła dłoń. – One są dla mnie takie uprzejme, nie chcę, żeby pomyślały, że jestem niewdzięczna.

– Masz moje słowo. Nie powiem im.

– Dzięki – rzekła.

Tłumiąc uśmiech, objął ją i poprowadził w stronę drzwi.

– Wyjdźmy. Chcę ci coś pokazać.

Obejrzała się.

– A jeśli Johnny Mack się obudzi?

– Wszędzie są monitory. W razie czego Mary lub Zadie się nim zajmą.

Na ganku zatrzymał się.

– Co ty na to? – zapytał, wskazując ręką samochód stojący na podjeździe.

Spojrzała na niego.

– Kupiłeś nowy samochód? Masz przecież mercedesa i furgonetkę. Po co ci jeszcze jeden?

Zanim zdołał powiedzieć, że to samochód dla niej, podbiegła do auta, usiadła za kierownicą i przymknęła oczy, odchyliwszy głowę na oparcie.

Z trudem chwyciła oddech.

– Zapach nowego samochodu! – powiedziała. – Nic na świecie nie może się z nim równać!

Śmiejąc się, okrążył auto i usiadł na miejscu dla pasażera.

Pochyliła się i oglądała deskę rozdzielczą.

– O rany, radio satelitarne! To już szczyt!

– Więc podoba ci się? – zapytał.

– Podoba? – Rozparła się wygodnie i wydała z siebie przeciągły jęk. – To ósme cudo świata!

Podał jej kluczyki.

– Włącz silnik.

Cofnęła dłoń.

– O, nie. A jeśli go roztrzaskam?

- Nie ma sprawy. Jest ubezpieczony. No, spróbuj.
- Zacisnęła usta, zerknęła kątem oka na kluczyki, po czym wzięła je ostrożnie.
- No dobrze, ale w razie czego to będzie twoja wina.
- Uruchomiła silnik, wyprostowała się.
- Nie wierzę! – szepnęła.
- W co?
- Zapalił!
- Mack roześmiał się.
- Jest twój – oznajmił.
- Mój? Ja mam swój samochód. Jeszcze pojeździ ładnych parę lat.
- Nie z tobą. Teraz masz ten samochód.
- Ten? – zapytała, jakby nie wierząc własnym uszom.
- Tak, ten – potwierdził ze śmiechem.
- Nie mogę go od ciebie przyjąć.
- Dlaczego? Przecież musisz czymś jeździć.
- Mam samochód.
- Który jest w Dallas – przypomniał jej.
- Rozłożyła ramiona.
- Ale na coś takiego mnie nie stać.
- Stać. Powiedziałem ci, że jestem bogaty.
- Potrząsnęła głową.
- Ty może tak, ale ja nie.
- Jesteś moją żoną. Co moje, to i twoje.
- Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.
- Chcesz powiedzieć, że... dajesz mi ten samochód?
- Na to wygląda. Jak się zapatrujesz na małą przejażdżkę?

Tego wieczoru, leżąc już w łóżku, przysłuchiwała się odgłosom dochodzącym do niej z pokoju dziecinnego. Trzeszczenie fotela i zachrypnięty głos Macka przemawiającego do Johnny'ego. Lada chwila przyniesie jej małego do karmienia, pomyślała. Mogłaby sama tam pójść, ale chłopiec najwyraźniej jest szczęśliwy, gdy bawi się z Maćkiem.

Leżała więc, słuchając, jak Mack przemawia do jej syna, i wspominała wydarzenia minionego dnia.

Nie mogła wprost uwierzyć, że Mack kupił jej samochód. I to nie jakiś tam samochód, ale lexus suv. Skąd wiedział, że to auto jej marzeń, że zawsze pragnęła

takie mieć? Jej zdaniem był to samochód stanowiący szczyt marzeń każdej kobiety, a poza tym na tyle obszerny, by mieściła się w nim cała rodzina.

Rodzina?

Zamyśliła się. Tak. Rodzina. Zaczęła tak myśleć. Niedobrze. Układ z Maćkiem wcale nie oznacza rodziny. Zaproponował jej formalne małżeństwo bez zobowiązań natury uczuciowej i seksualnej. Chodziło tylko o to, by dać dziecku nazwisko. Nie ma zatem podstaw, by myśleć o nich jako o rodzinie; ani Mack tego nie chciał, ani ona się na to nie godziła.

Spojrzała z zadumą na drzwi do pokoju dzieciennego. Słyszała odgłos bujania kołyski i nucenie Macka. Czy Mack uważał ich za rodzinę? – zastanawiała się. Oszalał na punkcie Johnny'ego Macka, to prawda, spędzał z nim każdą wolną chwilę. I wyglądało na to, że szczerze lubi Addy. Był dla niej miły, serdecznie się do niej odnosił. Ale starał się jej nie dotykać. Traktował ją bardziej jak... siostrę, no, może jak przyjaciółkę.

„Pora, by zacząć spełniać obowiązki wobec pana Macka, a nie sypiać w oddzielnym pokoju”.

Na wspomnienie tych słów Zadie zrobiło jej się gorąco. Co, do diabła, upoważniło kucharkę do takiej wypowiedzi? Wiedziała z pewnością o umownym charakterze ich małżeństwa. Przed jego przyjazdem do Dallas nawet się nie znali, a dwa dni potem Mack ją poślubił. Obcy sobie ludzie nie pobierają się z miłości. A Addy nie będzie spała z mężczyzną, którego nie kocha albo przynajmniej w którym nie jest zakochana.

A poczucie obowiązku? Uniosła wzrok ku niebu. Nigdy nie prześpi się z mężczyzną z poczucia obowiązku. Musi być miłość. Musi coś do niego czuć, przynajmniej jakiś rodzaj przywiązania.

Odgłos kołysania ucichł, co automatycznie przerwało tok jej myśli. Zaraz Mack przyniesie dziecko. Słyszając jego kroki, usiadła.

– Jest głodny? – zapytała z wymuszonym uśmiechem na ustach, wyciągając ramiona.

Pochylił się i podał jej chłopca.

– Chyba tak – odparł.

Przygotowując się do karmienia, spojrzała na synka.

– Zrobił się z niego tłuszczoszek – rzekła.

– Rzeczywiście przybrał na wadze – przyznał Mack, ziewając.

– Co najmniej półtora kilograma – wyraziła przypuszczenie.

– Bill powiedział, że trzeba się zgłosić na badania.

Addy spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Zapisaleś Johnny'ego Macka do lekarza?

– Tak. Spotkałem dziś w mieście Billa, nie, wczoraj – poprawił się, spoglądając na zegarek. – Powiedział, że możemy przyjść około południa, jeżeli ci to odpowiada.

Z lękiem spojrzała na dziecko, wiedząc, że czeka je seria szczepień.

– Nie zrobi mu krzywdy? – zapytała.

Roześmiał się.

– Bill to dobry pediatra. Możesz być spokojna.

Owinęła kocem nóżki małego.

– Rozumiem, tylko że...

– ... że się boisz – dokończył za nią.

Obrzuciła go nieśmiałym spojrzeniem.

– Myślisz pewno, że jestem zwariowaną matką – rzekła.

– Nie, myślę tylko, że bardzo kochasz swojego synka. Nie ma w tym nic dziwnego.

Chciała coś powiedzieć, ale nagle krzyknęła.

– Co się stało? – zapytał.

– Noga! Złapał mnie kurcz! Ojej!

Pochylił się i zaczął jej masować łydkę i stopę.

– Lepiej?

– Tak. Dzięki.

Jednak nie przestał. Masował i pieścił jej palce u nóg, i Addy poczuła, jak ogarnia ją żar.

Wiedziała, że powinna cofnąć nogę, ale nie potrafiła.

Nie chciała. Jedwabisty dotyk jego palców był cudowny, pełen erotyzmu. Gorąco, jakie ogarnęło jej biodra, burzyło jej spokój i obezwładniało ją. Była w najwyższym stopniu podniecona, a przy tym pełna zdziwienia, że Mack masażem stóp wyzwolił w niej takie emocje.

Spojrzała na niego ukradkiem zadowolona, że panujący mrok nie pozwala mu widzieć jej twarzy, a tym samym odczytać myśli. Wiedziała, że to szaleństwo, absolutne szaleństwo, ale pragnienie kochania się z nim górowało nad wszystkimi jej myślami. Nic innego nie było teraz ważne.

– Po wizycie u Billa powinniśmy coś zjeść – mówił Mack. – Przy okazji rozejrzysz się w Lampasas.

Zastanawiała się, jak on może myśleć o czymś tak prozaicznym jak lunch,

kiedy jej myśli dotyczyły głównie rozbierania go. Czy nie domyśla się jej uczuć? Czy nie pragnie tego co ona? Jak to możliwe, skoro...

Widocznie ona na niego nie działa.

Odpowiedź, jakiej sobie udzieliła, była tak jednoznaczna, tak brutalnie banalna jak kubeł zimnej wody wylanej na rozpaloną głowę.

A dlaczegoż to miałyby stanowić dla niego atrakcję? – zapytywała zgnębiona samą siebie. Urodziła właśnie dziecko. Powinna schudnąć ładnych parę kilogramów. Piersi miała jak melony. A perfumy, jakich używała, były marki „niemowlak”. Któryż mężczyzna mógłby ją uznać za ponętą?

Uwolniła stopę z jego chwytu i posadziła sobie dziecko na ramieniu.

– Bo ja wiem – rzekła wymijająco. – Chyba powinniśmy poczekać i przekonać się, jak Johnny Mack będzie się czuł po tych szczepieniach.

W drzwiach poczekalni stanął Bill i zaprosił ich do gabinetu. Mack niósł małego, a Addy z torbami podążała za nim.

W gabinecie Bill wziął chłopca na ręce i coś tam do niego mamrotał. Gdy Addy się zbliżyła, spojrzał na nią i zapytał:

– Jak się czujesz, Addy?

Jego miły uśmiech rozbroił ją i przegnał wszystkie lęki.

– Dobrze. Dziękuję.

– A ty już się zbadałaś?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Zrobię to w Dallas u mojego lekarza.

– Nie ma co czekać.

Sięgnął po telefon.

– Naprawdę nie ma pośpiechu – rzekła. Nie chciała, by badał ją jakiś obcy lekarz. – Ja nie...

Bill podniósł dłoń.

– Cześć, Sally – powiedział do słuchawki. – Jest tu Addy z synkiem. Jak sądzisz, czy Kathy mogłaby ją zbadać? – Słuchał chwilę, po czym skinął głową. – Dobrze, przyślę ją.

Odłożył słuchawkę i rzekł do Addy:

– Kathy, która, nawiasem mówiąc, jest moją żoną, zaraz cię przyjmie, jeśli się pospieszysz. – Trzymając dziecko na ręku, otworzył drzwi i wskazał gabinet na końcu korytarza. – To tam. Powiedz Sally, recepcjonistce, kto cię przysyła, i ona skieruje cię, gdzie trzeba.

– A co mam zrobić z Johnnym Maćkiem? – zapytała.

– Przecież nie zostawię go samego.

Mack położył jej rękę na ramieniu.

– Nic się nie bój, ja się nim zajmę.

– Ale...

– Lepiej się pospiesz. Kathy ma czas ściśle zaplanowany. Jeśli się spóźnisz, będzie wściekła.

Zanim Addy zdołała dokończyć myśl, drzwi się za nią zamknęły.

– Wszystko jest w porządku, nie mam zastrzeżeń co do stanu pani zdrowia. Może pani śmiało uprawiać seks.

Addy krew uderzyła do głowy.

– Ja przecież... wcale nie... Mack...

– Nie mówię – zaczęła lekarka, powstrzymując uśmiech – że musi pani to robić dziś wieczór. Mówię tylko, że nie ma żadnych przeciwwskazań.

Jeśli w ogóle to możliwe... Addy zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– Tak, oczywiście, rozumiem – wybąkała.

Kathy wyciągnęła do niej rękę.

– Miło mi było cię poznać, Addy. Jesteś taka, jak opowiadał Mack, a nawet jeszcze fajniejsza.

– To Mack mówił pani o mnie?

Kathy, odprowadzając Addy do drzwi, ciągnęła:

– Niezupełnie. Mack i Bill przyjaźnią się od dzieciństwa. Gdy coś się przydarza jednemu, to drugi musi o tym wiedzieć. – Przerwała na chwilę. – A co wie Bill – podjęła wątek – wiem i ja. Mężczyźni w ważnych sprawach zwierzają się przyjacielom. – Zmierzyła ją wzrokiem i skinęła głową.

– Tak, dzielam jego opinię. Jesteś świetna.

„Jesteś świetna”.

Składając upraną przez Mary bieliznę, Addy ważyła w myślach te dwa słowa, zastanawiając się, co też Kathy chciała przez to powiedzieć. Skoro Kathy przyznała, że Bill wszystko jej mówi, to znaczy, że powiedział jej, że Addy jest świetna, a Kathy zgodziła się z tą opinią.

Ale w czym niby jest świetna, zapytywała się w duchu.

– Jak mały?

Aż podskoczyła na głos Macka stojącego w progu. Przyszły jej na myśl słowa

lekarki, te o seksie, i spłonęła rumieńcem. Odwróciła głowę, by Mack tego nie zauważył.

– Wszystko w porządku – odparła.

Zajrzał do pokoju dziecinnego, by sprawdzić, czy chłopiec śpi, a jej serce waliło jak oszalałe. Obserwowała go kątem oka, stwierdzając bez krzty wątpliwości, że gdy on jest blisko, może myśleć tylko o seksie. Pół roku temu nawet by na niego nie spojrzała. Starsi mężczyźni jej nie pociągali, a on był przynajmniej dziesięć lat od niej starszy. Nie był też w jej typie. Lubiła mężczyzn wysokich, szczupłych, a Mack nie był ani zbyt wysoki, ani zbyt szczupły. Był raczej barczysty, o silnej budowie. A jeśli chodzi o charakter, był despotyczny i władczy. Musiała słuchać jego poleceń. Spojrzał na nią, a ona szybko wróciła do swojego zajęcia, by nie zauważył, że go obserwuje.

– Wyglądał nie za dobrze. Myślałem, że może brzusek.

– Też tak sądziłam – rzekła.

– Zadowolona jesteś z wczorajszego lunchu w mieście? – zapytał, bawiąc się śliniaczkiem.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem, bo przecież podziękowała mu już za ten lunch.

– Tak, mówiłam ci już, że było bardzo przyjemnie.

Skinał głowę, zostawił śliniaczek, wziął bucik i wsunął w niego dwa palce.

– Co sądzisz o Lampasas?

Rozmawiał z nią, ale na nią nie patrzył, co wydało jej się dość dziwne. Wpatrywał się w bucik i we własne palce.

– Ładne miasteczko – odparła, marszcząc czoło. – Znacznie mniejsze od Dallas, ale takie małe miasta mają specyficzny urok. – Nie mogąc zapanować nad ciekawością, zapytała: – Dlaczego chcesz to wiedzieć?

Wzruszył ramionami i rzekł, patrząc w inną stronę:

– Bez powodu. Ze zwykłej ciekawości.

Spojrzała na niego, dziwiąc się również temu, że unika jej wzroku.

To przez te hormony.

Do takiego wniosku doszła, gdy nie mogła w nocy zasnąć. Bo jedynie tym można tłumaczyć fakt, że Mack wzbudził jej zainteresowanie. Mało tego: zaczął jej się podobać. Wiedziała, że zarówno w czasie ciąży, jak i po porodzie zachodzą w kobiecie zmiany natury hormonalnej. Doświadczyła tego, gdy nosiła pod sercem Johnny'ego Macka. Skłonność do płaczu, nagle przyływy gorąca, a potem fale

chłodu, pocenie się.

Tak, to wszystko hormony. Tak musi być.

Spojrzała z ukosa na siedzącego obok Macka czytającego rozłożoną przy talerzu gazetę. Gdy przed śniadaniem podeszła do stołu, prawie jej nie zauważył.

Z naburmuszoną miną utkwiała widelec w naleśniku. To nie w porządku, pomyślała, grzebiąc w syropie. Dlaczego nagle płonie z pożądania do faceta, który z każdym dniem coraz mniej się nią interesuje?

Co nie oznacza, że kiedykolwiek się nią interesował, myślała smętnie. Ale przynajmniej był dla niej uprzejmy. Był przy niej, gdy karmiła dziecko. Oglądali razem telewizję. Zabierał ją na spacer, gdziekolwiek, byle wyciągnąć ją z domu, od dziecka, rozerwać w jakiś sposób.

Znów zerknęła na niego i znów pojawiło się to uczucie pożądania. Siwe włosy na skroniach dodawały mu tylko uroku. A zmarszczki w kącikach oczu i między brwiami, gdy się nad czymś zastanawiał, sprawiały, że jego ładna męska twarz stawała się jeszcze bardziej interesująca. I te jego ramiona! Zasłoniła usta serwetką, by nie wyrwał jej się jęk na myśl o tym, jak chętnie by tych jego ramion dotknęła.

– Panie Mack!

Na dźwięk głosu Zadię serwetka wypadła Addy z rąk.

– Słucham – bąknął Mack, nie odrywając wzroku od gazety.

– Da mi pan parę dni wolnego?

Uniósł głowę.

– Jakież kłopoty? – zapytał.

Wsunęła ręce do kieszeni fartucha.

– Chodzi o moją siostrę Mabel. Dzwonił Willie, jej Chłopak, że wczoraj wieczór upadła i złamała nogę.

Odłożył gazetę i z uwagą skierował na nią spojrzenie.

– To przykre – rzekł. – Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

– Też tak sędzę – odparła. – Ale muszę się nią zaopiekować, przynajmniej na początku. Sama nie da sobie rady.

Mack skinął głową ze zrozumieniem.

– Zostań z nią, jak długo będzie cię potrzebować. Mam cię do niej podrzucić?

– Dziękuję. Pojadę sama. Przepraszam za ten nagły wyjazd. Gdybym wiedziała, naszykowałabym więcej jedzenia.

Mack spojrzał na Addy.

– Na pewno Addy coś przyrządzi – powiedział.

– Oczywiście – rzekła Addy, nie kryjąc radości. – Ubóstwiam gotować.

– Może i przyrządzi – wyraziła przypuszczenie Zadie. – Dam jej parę przepisów.

Mack wstał i położył dłoń na jej ramieniu.

– Nie przejmuj się nami, Zadie. Myśl teraz o Mabel. My nie umrzemy z głodu. Addy do tego nie dopuści.

Addy stała przed lustrem w swojej łazience, goła jak ją Pan Bóg stworzył, poddając surowej ocenie własne ciało. Twarz pociągła, talia zaznaczona jak należy, płaski brzuch jak przed ciążą. Obiema dłońmi uniosła piersi i bacznie im się przyglądała. Były zdecydowanie większe niż przed ciążą, ale straciły już kształt melona. Wyglądały całkiem dobrze.

Pochyliła się, by się przyjrzeć twarzy. Dotknęła policzka, szukając tej ciemnej plamy, którą doktor Wharton określił jako przebarwienie ciążowe. Stwierdziła z satysfakcją, że plama prawie znikła. Lekki makijaż i nic nie będzie widać.

Cofnęła się i patrzyła na poziomą rysę w dole brzucha. Roześmiała się. Jak ślady po bikini. Niechby nawet była ta rysa po ciąży. Każda cena jest warta syna, myślała, wchodząc do wanny i zanurzając się po szyję w wodzie. Obok na półce stało wszystko, co służy upiększaniu ciała: maszynka do golenia, krem, maseczka avokado na twarz, pachnące olejki i relaksujące sole do kąpieli. Sypnęła je hojnie do wanny, by wzmocnić ducha.

W głowie dojrzewiał jej pewien plan. Uwiedzie Macka. A ów plan pojawił się po wyjeździe Mary i po tym, jak Zadie, za pozwoleniem Macka, postanowiła wyjechać do chorej siostry. Po raz pierwszy Addy i Mack zostali sami w domu, nie licząc oczywiście Johnny'ego Macka, którego Addy już położyła, marząc o tym, by jak najszybciej zasnął i spał nieprzerwanie aż do rana.

Nie od razu zdała sobie sprawę, że to najwyraźniej zrządzenie losu. I w jednej chwili zamarła z przerażenia, że może Maćkowi się nie spodoba. Po paru minutach upiększania się dała sobie spokój. Do diabła z tym! Nie będzie się przejmować. Albo zaakceptuje ją taką, jaka jest, albo koniec, kropka! Nie ma problemu.

A jednak jest problem, przyznała po cichu.

Mimo drżenia rąk nałożyła krem na twarz i ogoliła nogi. Następną czynnością był masaż całego ciała gąbką nasączoną wonnościami. Potem mycie oraz szcietkowanie włosów. Czysta i pachnąca wyszła z wanny. Wytarła się i rozejrzała za ubraniami, stwierdzając z przerażeniem, że zapomniała je wziąć ze sobą do łazienki.

Z westchnieniem rezygnacji owinęła się ręcznikiem i otworzyła drzwi, pilnie

bacząc, by ręcznik nie odsłonił piersi. Raptem usłyszała hałas, spojrzała przez ramię i zobaczyła Macka wychodzącego z pokoju dzieciennego. Serce zaczęło jej walić jak oszalałe. Zerknęła w stronę szafy, potem na drzwi do łazienki, obliczyła odległość i doszła do wniosku, że żadną miarą nie dotrze niepostrzeżenie ani do szafy, ani do łazienki.

Stojąc owinięta w wilgotny ręcznik, z mokrymi włosami opadającymi na ramiona, oczywiście bez makijażu, zdała sobie sprawę, że jej plan uwiedzenia Macka przysł niczym bańka mydlana.

– Cześć – powiedział z uśmiechem. – Właśnie chciałem... – urwał, uśmiech znikł mu z twarzy, a oczy zmierzyły ją od stóp do głów. – Owinęłaś się ręcznikiem – rzekł i popatrzył na nią uważnie.

Spojrzała w bok, by nie zauważył jej zmieszania.

– Zapomniałam wziąć ubrania do łazienki.

Gdy ich spojrzenia się spotkały, niemal poczuł żar, jaki od niej buchał.

Licząc na to, że dobrze odczytała wyraz jego oczu, nabrała powietrza w płuca i... puściła ręcznik, który opadł na podłogę.

Rozdział 6

Nie tylko ręcznik, który opadł na podłogę, ale również światło świecy i brak makijażu ujawniały pewne skazy urody Addy. Na szczęście górne światło nie było włączone, jednak gdyby Mack przyjrzał się Addy z mniejszej odległości, niechybnie dostrzegłby jej niektóre niezbyt doskonałe cechy.

A przyglądał się uważnie.

W danym momencie jego wzrok spoczywał na piersiach.

Chciała wprawdzie za wszelką cenę chwycić ręcznik i zasłonić się nim, lecz dziwnym zbiegiem okoliczności ramiona miała wyprostowane i głowę uniesioną.

Prawie usłyszała jego jęk i dreszcz przebiegł jej wzdłuż pleców.

Chciała... zrobić pierwszy krok.

Ich oczy się spotkały.

– Addy...

Usłyszała nutę przestrogi w jego głosie. A może błagania?

Modląc się, by było to błaganie, stanęła tuż przed nim i położyła mu rękę na piersi. Drgnął. Wyczuła bicie jego serca. Lecz oczy pozostały nieruchome, ciemnoniebieskie, błyszczące.

– Wiesz, co robisz? – zapytał.

Tym razem była to na pewno przestroga. Przełknęła ślinę i skinęła głową. – Tak. Czują pod dłonią, jak jego pierś się uniosła i opadła.

– Masz dwie sekundy na zmianę zdania – powiedział.

Zmarszczyła czoło.

– A jeśli nie zmienię?

– Jeden, dwa...

Nie zdążyła nabrać powietrza, gdy przywarł ustami do jej warg. Gwałtownie, nieustępliwie. Otoczył ją ramionami niczym obręczą. Czowała jego pożądanie, upajała się tym, zachwycała się sobą, że doprowadziła go do tego stanu, że obudziła w tym mężczyźnie takie emocje. Żar płynący z jego ciała przenikał ją, porywał, i aż sama się sobie dziwiła, że tak długo zwlekała z uwiedzeniem go.

Cudownie całował. Zdziwiła się, że stać ją w tej chwili na formułowanie myśli. Jego pocałunki były władcze i zaborcze, podobnie jak ręce. Gdy zaczęło jej brakować tchu, zwolnił tempo. Ruchy jego dłoni stały się delikatniejsze, co tym bardziej ją pobudziło.

Pragnęła dotknąć jego ciała, tak jak on jej dotykał.

– Koszula – rzekła drżącym głosem i sięgnęła do guzików.

Pozwolił jej na to, choć trzymał ją mocno za biodra.

Rozpięła trzy guziki, gdy napotkała jego wzrok. Patrzył na nią. Z zaciekawieniem? Z zakłopotaniem? Pytająco?

Uniosła dłonie, lękając się, że postąpiła niewłaściwie.

– Nie wiem...

Wtulił głowę w jej szyję.

– Wiesz...

Słowo to nie rozproszyło w żadnej mierze wątpliwości, jakie ją ogarnęły, ale jego usta miały wielką moc. Rozpięła ostatni guzik, a on znów ją pocałował. Wspierała z całej siły dłonie o jego pierś, spełniając tym przemożną potrzebę dotknięcia go. Czuła pod palcami jego ciepło i siłę, gdy ściągała z niego koszulę.

Wziął ją na rękę.

– Łóżko – powiedział.

Słowo to znaczyło tylko jedno i nie pozostawiało żadnej wątpliwości. Zanim powiedziała mu, że od samego początku właśnie to miała na myśli, wziął ją w ramiona.

Może nawet drżała z zachwyty wobec jego taktyki, może uniosła brew z podziwu wobec finezji, z jaką, odrzuciwszy kołdrę, otoczył ją swymi silnymi ramionami, lecz na konstatację tych odczuć zabrakło jej czasu, bo natychmiast zaczął ją rozbierać.

Leżąc na łóżku, śledziła jego ruchy, patrzyła, jak zdejmuje buty i dzinsy. A gdy stanął przed nią wyprostowany, nie mogła oderwać oczu od tego, co zobaczyła. Nie do wiary! Natura obdarzyła go hojniej niż Roba.

Ukląkł na łóżku, a potem położył się obok niej i pocałował w usta. Ciało miał gładkie, ciepłe, a całował ją z taką czułością, że aż łzy podeszły jej do oczu.

Podniósł głowę i odgarnął jej włosy, by móc widzieć jej twarz. Zobaczył łzy. Łzy szczęścia.

– Dobrze nam ze sobą, prawda? – zapytał.

Nie musiał mówić nic więcej.

Skinęła głową.

– Zgodnie z orzeczeniem Kathy nadaję się do uprawiania seksu.

Zamrugnął oczami i zaraz wybuchnął śmiechem.

Przeraziła się, że tym odezwaniem się zburzyła nastrój, jaki się między nimi wytworzył. Ale gdy jego wzrok, a potem dłonie spoczęły na jej piersiach, uspokoiła się. Nic złego się nie stało.

– Kiedy cię obserwowałem, jak karmisz Johnny’ego Macka, zastanawiałem się, co wtedy czują twoje piersi. – Sięgnął do nich ustami. – I jaki to ma smak.

Poczuła dreszcz pożądania, gdy jego usta stawały się coraz bardziej zaborcze. Drżała, zaciskając kolana i bojąc się, że je rozchyli.

Oczy mu płonęły. Wsparł się na łokciu i powrócił do całowania jej ust, a potem jednym ruchem posadził ją na sobie. Obiema dłońmi ujął jej twarz. Całował ją coraz śmieiej, pieszcząc palcami ciało. Było jej gorąco, osłabła i pomyślała, że chyba oszaleje, zanim on... I wtedy z całej mocy przywarła biodrami do jego bioder.

A on odwrócił ją i pochylił się. Nigdy w życiu czegoś takiego nie przeżywała.

– Pragnę cię – szepnęła.

Spojrzał na nią i rzekł:

– Nie chcę cię skrzywdzić.

– Nie skrzywdzisz. – Chwyliła jego dłoń i przyciągnęła go do siebie. – Mack...

– Powoli – mruknął.

Potrząsnęła z przejęciem głową.

– Proszę cię. Teraz.

Nie spieszył się aż do tego najważniejszego momentu.

Nabrała powietrza w płuca. Nie oddychała chwilę, po czym z westchnieniem rozkoszy uchyliła powieki. I napotkała oczy Macka, intensywnie niebieskie, obserwujące ją. Twarz miał wilgotną, spoconą, pokrytą lekkim zarostem. Dotknął jej brzucha i uśmiech pojawił się na jego ustach.

Pomyślała o tej rysie w dole brzucha. Przykryła ją dłonią.

– Przestań – powiedział. – Nie masz się czego wstydzić.

Jakby chcąc jej to udowodnić, pochylił się i pocałował tę ryse. Unosząc głowę, napotkał jej wzrok.

– To medal za macierzyństwo – dodał. – Noś go z dumą.

Jej serce zatrzymało się na chwilę, a potem zaczęło mocno bić. Zakochała się w nim. Jak mogła się nie zakochać w kimś takim jak on?

Zanim zdążyła to sobie przemyśleć, chwycił ją i przytulił do siebie. Z twarzą tuż przy jej twarzy pochwylił jej wzrok. – Addy...

Dotknął ustami jej warg. Tyle w tym było czułości, że aż poczuła łyzy na policzkach.

Pochylił głowę, położył palce na jej powiekach.

– Po co te łyzy?

– Nie... nie wiem – wyjąkała.

– Zadałem ci ból?

Wtuliła twarz w zgięcie między jego szyją a ramieniem.

– Nie.

Pocałował ją we włosy.

– Może żałujesz?

Roześmiała się.

– Jak mogłabym żałować czegoś, do czego dążyłam? Co sobie zaplanowałam?

Odsunął się i spojrzał na nią uważnie.

– Zaplanowałaś?

Uświadamiając sobie, jak fatalnie to wypadło, rzekła zasepiona:

– No, niezupełnie. Myślałam, że inaczej się to potoczy. Blask świecy. Dźwięki muzyki. Dobre wino. I ja totalnie nieugięta. – Zmarszczyła brwi. – Niestety nie doszło do realizacji mojego planu.

– Hm. – Przytrzymał wciąż opadające jej na twarz włosy. – Nie byłem w stanie się powstrzymać. – Pocałował ją.

– Zwaliłaś mnie kompletnie z nóg. – Oddychając ciężko, pieścił jej szyję. – Jakiego używasz zapachu? – zapytał. Zamknęła oczy, odchyliła głowę i rzekła:

– „Uwodzenie”. Bardzo a propos.

Zadie dostałaby szału, gdyby zobaczyła swoją kuchnię. Na stole skorupki od jajek, kawałki bekonu koło patelni, wszędzie porozsypywana mąka, miska z resztkami ciasta, biszkopty.

Lecz Addy nie przejmowała się bałaganem, jaki narobiła. Zadie tego nie widzi, więc nie ma problemu. A ona ma swój wielki dzień.

Spędziła z Maćkiem cudowną, niezapomnianą noc. Kochali się, tulili do siebie, zasypiali, i tak w kółko. Teraz on się golił, a ona szykowała śniadanie, którego celebrowanie będzie, jak sądziła, ukoronowaniem tej niezapomnianej nocy.

A że w świetle dnia była trochę speszona, to przecież normalna rzecz. Co innego pod osłoną nocy kochać się szaleńczo z mężczyzną, a całkiem co innego siedzieć potem z nim przy stole i jeść śniadanie, jak gdyby nigdy nic.

– Pachnie smakowicie.

Aż podskoczyła, parząc przy okazji dłoń o rozgrzaną patelnię. Objął ją i pocałował w szyję.

– Masz na myśli mnie, czy to, co się smaży? – zapytała przekornie.

Śmiejąc się, stanął obok.

– Jedno i drugie. Cojemy na śniadanie?

– Omlet z szynką. Jesteś głodny?

– Jak wilk. – Odwrócił się. – Zjrzałem do Johnniego Macka – powiedział, idąc w stronę lodówki. – Cały czas śpi. – Nalał soku pomarańczowego i podał jej szklanę.

Cała ta scena wydała się Addy zabawnie rodzinna. Jeżeli dalej tak będzie, myślała z lękiem, to kiepsko z nią.

– Jakie masz plany na dzisiaj? – zapytał.

Obróciła na patelni plasterek bekonu.

– Nic specjalnego. Może zrobię małe pranie albo pomogę w czymś Mary. A ty?

– Muszę załatwić w mieście parę spraw. A potem coś pomyślimy. Oboje. Mary na pewno z chęcią posiedzi przy Johnnym Maćku.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Chcesz się ze mną umówić na randkę?

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Tak. Coś w tym rodzaju. Najpierw małżonkowie, potem kochankowie. Ale gdzieś po drodze chyba coś zgubiliśmy.

Addy długo się zastanawiała, jak się ubrać na tę „randkę” z Maćkiem. Nie dlatego, że chciała na nim wywrzeć wrażenie, tłumaczyła sobie, przeglądając po raz trzeci szafę w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego. Oglądał ją w sytuacjach najgorszych dla jej wizerunku i nie uciekł, więc co za różnica, co na siebie włoży?

Ale to miała być ich pierwsza randka, więc wszystko musi być piękne. Wyjęła z szafy kolorową sukienkę i przyłożyła do siebie.

– Co ty na to? – zapytała Johnniego Macka. – Zbyt jaskrawa?

Chłopiec chwycił się za nóżkę, gaworząc coś, najwyraźniej zadowolony, że mama pyta go o radę.

– Myślisz, że mi w tym dobrze? – Roześmiała się i pocałowała go w policzek. – No dobrze, włożę tę. – Spojrzała na dziecko. – Ale jeśli się nie spodoba Maćkowi, to będzie twoja wina.

Mały uśmiechnął się radośnie.

– Jesteś najcudowniejszym chłopcem na świecie – powiedziała Addy, tuląc go.

– Czy powiedziałam Mary, że butelki z mlekiem dla małego są w lodówce? – zapytała Addy.

– Dwa razy – odparł Mack, dotykając jej ręki. – Możesz być spokojna. Mary ma czwórkę dzieci. Poradzi sobie.

– Ale jej dzieci są starsze – rzekła. – I może już zapomniała, że przed podaniem

dziecku butelki trzeba ją podgrzać.

Podał jej telefon komórkowy.

– Zadzwoń do niej, skoro wciąż się zadrećzasz i nie potrafisz się odprężyć.

Popatrzyła na telefon, ale cofnęła rękę.

– Nie. Mary przecież umie się obchodzić z dziećmi.

Schował z uśmiechem komórkę do kieszeni.

– No właśnie – powiedział.

Odwróciła od niego wzrok i zaczęła wyglądać przez okno.

– Dokąd jedziemy? – zapytała po chwili.

– Do Austin. Chcę ci pokazać to i owo. – Popatrzył na nią. – Widziałaś State Capitol?

– Nie. Właściwie to nigdy nie byłam w Austin. Przejeżdżałam tylko, ale to się nie liczy.

– Zwiedzimy miasto innym razem. Dziś popływamy po jeziorze.

Wynajął łódkę, gdy słońce miało się już ku zachodowi, barwiąc horyzont czerwienią.

– O czym myślisz? – zapytał.

Addy, rozluźniona, odprężona, jak dawno jej się nie zdarzało, zanurzyła rękę w wodzie.

– O niczym. Odpoczywam.

Odłożył wiosła i posadził ją sobie na kolanach. Krzyknęła, bo łódka groźnie się przechyliła.

– Co ty wyprawiasz? Chcesz nas utopić?

Śmiejąc się, objął ją.

– Nie. Chcę tylko mieć cię bliżej.

Uśmiechnęła się i odgarnęła włosy z twarzy.

– Mógłbyś zapytać, czyja również tego chcę. A gdybym przy tej okazji wpadła do wody?

– Skoczyłbym i uratował ci życie.

Uniósł jej bluzkę i pocałował w pierś.

Przeszył ją dreszcz.

– Uważaj, podrywaczu – rzekła, kładąc mu palec na czole. – Prawo zabrania molestowania.

– To nie molestowanie – powiedział, wędrując dłonią wzdłuż jej uda. – To coś znacznie groźniejszego.

Krew uderzyła jej do głowy. Czowała, że słabnie i brak jej tchu.

– Mack – szepnęła z ustami przy jego ustach. – Przestań. Ktoś nas może zobaczyć.

– Kto? Oprócz nas nikogo tu nie ma.

Rozejrzała się dokoła i stwierdziła, że tak jest w istocie. W zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Łódka wpłynęła do wąskiej zatoczki pod baldachimem gałęzi porośniętych bujnie listowiem. Gdzieś daleko na przeciwległym brzegu widać było światelka, a bliżej, dzięki tym dalekim światelkom, ciemność była jeszcze głębsza i bardziej przepastna. Wymarzone miejsce dla kochanków.

Rozwiązał tasiemkę bluzki Addy i położył głowę między jej piersiami.

– Kochałaś się kiedyś na łódce? – zapytał.

– N-n-nie – wyjąkała przymknawszy oczy, z trudem chwytając oddech. – Nie. Przyciągnął ją do siebie.

– A więc będzie to nowe doznanie dla nas obojga.

Leżała z głową wspartą o jego ramię. Drugim ją obejmował. Cudowna harmonia ciał i uczuć, spokój, jakiego dotąd nie zaznała, o jakim nawet nie marzyła.

Winna jest Robowi wdzięczność. Gdyby nie on, nie poznałaby Macka.

Jak inaczej potoczyłoby się jej życie bez Macka, jakie byłoby puste, myślała trzymając go za rękę. Nawet w dotyku jego dłoni znajdowała poczucie bezpieczeństwa.

Więc tak się człowiek czuje, gdy jest zakochany, stwierdziła w duchu i ucieszyła ją ta myśl. Spojrzała przez ramię na mężczyznę, któremu zawdzięczała ten stan, i serce zaczęło jej bić mocniej. Wyglądał tak chłopięco z potarganymi po śnie włosami, niecałkiem jeszcze obudzony. Czy ją kocha? – zastanawiała się. Nie powiedział tego. Ani ona.

Położyła głowę na poduszce obok jego głowy. Powoli, strofowała się w duchu. Gdy go pytała, czy to ma być randka, odpowiedział, że „coś w tym rodzaju”. Zgubili po drodze parę etapów. Jako obcy sobie ludzie pobrali się, a potem zostali kochankami. Przyszedł zatem czas na wykorzystanie danych im możliwości – poznanie się, poznanie własnych uczuć.

Splotła dłonie i pomodliła się, aby on też zrozumiał, że jest w niej zakochany.

Johnny Mack zapłakał i Addy odrzuciła kołdrę, ale Mack chwycił ją wpół. Oparł się na łokciu i pocałował ją w kark.

– Nie wstawaj – rzekł. – Ja do niego pójdę.

Obserwowała, jak znika w pokoju dzieciennym.

– Hej, kolego! – usłyszała jego głos. – Jakim prawem budzisz się o tej godzinie?

Uśmiechnęła się i zamknęła oczy. Z odgłosów dobiegających z pokoju mogła wywnioskować, co Mack robi. Szelest opuszczanej siatki łóżeczka, szept uciszającego dziecko Macka. Sama poczuła ogarniającą ją przemożną senność.

Zasypiając, myślała, jakie szczęście ma jej syn, że Mack się o niego troszczy. Bo ona nie miała ojca, który by jej otarł łzy i utulił do snu. A jej syn zawsze będzie miał Macka.

Rozdział 7

Mack siedział przy biurku i słuchał cierpliwie wyjaśnień Lennego dotyczących sprawy, którą wniósł do sądu.

Gdy Lenny skończył, Mack zapytał po chwili zastanowienia:

– Dobrze zrozumiałem, że przygotowałeś dokumenty, które po podpisaniu przez Roba dadzą mi prawa rodzicielskie do opieki nad dzieckiem i Johnny Mack zostanie legalnie moim synem?

– On już jest twoim synem. Potwierdzają to bezspornie dokumenty. Postawa Addy w tej kwestii uprościła sytuację. Lecz żeby uniemożliwić ewentualne roszczenia biologicznego ojca, należy przeprowadzić procedurę adopcyjną.

– Byle szybciej! Nie chcę, żeby Rob rościł sobie prawa do mojego syna!

Lenny skinął głową.

– W porządku. Ale muszę cię uprzedzić, że wiążą się z tym określone koszty, nie wspominając już o moim honorarium. Strona przeciwna będzie chciała wyciągnąć z ciebie jak najwięcej.

Mack wstał i sięgnął po kapelusz, szykując się do odejścia.

– Przede wszystkim trzeba ustalić miejsce pobytu Roba – rzekł. – Wynajmę w tym celu prywatnego detektywa. Rob zwykle się nie oddala zbyt daleko od miejsca, w którym przebywał ostatnio, więc zlokalizowanie go nie powinno być trudne.

– Oczywiście. – Lenny odprowadził go do drzwi. – Nie wspomniałeś o Addy. Jak się wam wiedzie?

Mack skinął głową, kryjąc uśmiech.

– Dobrze – odparł. – Bardzo dobrze.

Lenny spojrzał uważnie na Macka.

– Coś takiego – mruknął i klepnął Macka po ramieniu. – Kto by pomyślał, że taki stary byk jak ty znów się zakocha.

Zadie nie było już od czterech dni, dziewięciu godzin i dwudziestu dwóch minut. Addy dokładnie to sobie obliczyła, bo cieszyła się każdą minutą, jaką spędzała w kuchni, panując w niej niepodzielnie. Ale jej radość skończyła się po południu wraz z powrotem kucharki.

– Nie trzyj tak mocno – powiedziała Mary – bo wywiercisz dziurę w zlewie.

Addy upuściła ścierkę i rozejrzała się.

– Ustawiłam wszystko tak jak trzeba, na swoim miejscu, prawda? – zapytała.

– Nie przejmuj się tak. To twoja kuchnia, nie Zadie.

Możesz nawet pomalować ściany na czerwono, jeśli ci przyjdzie taka fantazja. Nikogo nie musisz prosić o pozwolenie.

– Faktycznie – przyznała Addy. – Tylko że Zadie urwałaby mi chyba głowę, gdybym bez jej zgody choćby starła kurz z mebli.

Mary pokręciła głową.

– Aż dziw, że pozwoliłaś jej tak się tu rządzić. To ty jesteś żoną pana Macka i panią domu. Przypomnij jej to, a zobaczysz, jak spuści z tonu.

– Tak sądzisz? – zapytała Addy z powątpiewaniem.

– Nie gadałabym po próżnicy – oświadczyła Mary.

– Nie chcę jej rozzłościć. W gruncie rzeczy ją lubię. Ale jest trochę za bardzo zaborcza i chce rządzić w kuchni.

– Nie pozwalaj jej na to. Już dość się narządziła.

– No dobrze – zgodziła się Addy. – Ale musisz mi coś obiecać.

– Co?

– Po mojej śmierci pomaluj kuchnię na czerwono.

Mary zamrugła oczami i roześmiała się.

– Co też ci przychodzi do głowy!

Addy, mimo żartobliwego nastroju, ponownie sprawdziła, czy wszystko w kuchni jest na swoim miejscu.

Dokonywała właśnie przeglądu półek w spiżarni, gdy usłyszała skrzyp otwieranych drzwi. Wiedziała, że to Zadie, i złękła się, słysząc, jak Zadie, wyraźnie rozszoszczona, rzuca na stół torbę z zakupami.

– Coś podobnego! – warknęła pod nosem. – Ktoś zostawił w zlewie ścierkę!

Addy przypomniała sobie poniewczasie, że nie powiesiła ścierki na suszarce, tak jak to czyniła Zadie.

– Jak się czuje Mabel? – zapytała ją Mary.

– Już lepiej – odparła.

– Dziwne, że dłużej u niej nie zostałeś – zauważyła Mary.

– Przyjechała do niej córka z miasta i pobędzie z nią trochę. A ja tam miałam roboty po uszy. Ta kobieta mieszka jak w chlewie. Musiałam wyszorować całą kuchnię, by ugotować coś do jedzenia.

Addy usiłowała zamknąć drzwi. Na ten widok Mary wykrzywiła usta w uśmiechu i przeszła obok.

– Wyobrażam sobie, jak pan Mack się ucieszy, że wróciłam – powiedziała Zadie. – Biedaczek, pewno głodował.

– Jest najedzony jak bąk – powiedziała Mary, spiesząc Addy z pomocą. – Addy karmiła go trzy razy dziennie.

Addy uśmiechnęła się, ale uśmiech zniknął z jej ust, gdy usłyszała ironiczne „hmm” Zadie. I doszła do wniosku, że już najwyższy czas przywołać Zadie do porządku.

– O, cześć, Zadie – powiedziała ze zdziwieniem, jakby nie zauważyła jej obecności w domu i nie słyszała tego, co mówiła do Mary. – Jak się czuje Mabel?

Zadie wybałuszyła na nią oczy, a potem spojrzała na Mary, nie kryjąc zaskoczenia.

– Już... dobrze... w porządku.

– Słusznie zrobiłaś, że wyrwałaś się stąd choć na krótko – rzekła Addy ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, uśmiechając się słodko – bo jak się jest na każde skinienie, to źle się na tym wychodzi.

– To prawda – przytaknęła Zadie i znów spojrzała na Mary ze zdziwieniem.

Addy rozejrzała się wokół.

– Tak... – zaczęła z zadumą w głosie. – Te ściany aż się proszą o odnowienie.

Tymczasem w sercu Zadie narastał gniew.

– Nic im nie brakuje – rzekła.

– Kolor stanowczo wymaga odświeżenia – oświadczyła Addy.

– Kolor jest w sam raz – powiedziała Zadie.

– Wyblakły. – Addy spojrzała na Mary, która z trudem powstrzymywała się od śmiechu. – A co ty o tym sądzisz? Nie uważasz, że ściany są szare?

– Ja lubię mocne barwy – rzekła Mary. – Ożywiają pomieszczenie.

Zadie wyglądała tak, jakby za chwilę miała eksplodować.

– Tu jest aż za dużo ożywienia – powiedziała. – Nie trzeba więcej.

– A na jaki kolor, Addy, chciałabyś te ściany pomalować? – zapytała Mary, podgrzewając i tak już gorącą atmosferę.

Addy zmarszczyła czoło w zamyśleniu.

– Bo ja wiem... Na jakiś mocny. Wyrazisty. Może czerwień?

– Na czerwono?! – wrzasnęła Zadie. – Chcesz zrobić burdel z mojej kuchni?

Drzwi się otworzyły i do kuchni wparował Mack.

– Cześć, Zadie – powiedział ze zdziwieniem. – Nie przypuszczałem, że tak szybko wrócisz. Witaj w domu.

– Dzień dobry – rzekła i przesłała Addy piorunujące spojrzenie. – Wygląda na to, że wróciłam w samą porę.

– W samą porę? – powtórzył, zdejmując kapelusz.

Zadie uniosła w górę ramiona dramatycznym gestem.

– By uratować moją kuchnię! Ona chce pomalować ściany na czerwono!

Mack popatrzył na Addy.

– Na czerwono? – zapytał Mack.

– Może nie na czerwono – zastanowiła się Addy ze słabym uśmiechem. – Ale trzeba by odnowić kuchnię.

Mack rozejrzał się, jakby rozważając problem.

– Masz rację – przyznał. – Trzeba odmalować ściany. Daj mi znać, gdy wybierzesz kolor, to wynajmę ludzi. – Spojrzał na zegarek.. – Muszę wykonać parę telefonów. – Zatrzymał się przed Addy, pocałował ją w usta i skierował się do drzwi. – W razie czego, moje panie, jestem w biurze – rzekł na zakończenie.

Zadie stała jak wryta, z otwartymi ustami, do których łatwo mogłaby wlecieć mucha, zaszokowana najwyraźniej pocałunkiem, którego była świadkiem.

Addy uniosła pytająco brwi.

– Jakiś problem?

Ta przygryzła wargę i rzekła po chwili:

– Nie moja sprawa, kto z kim śpi – mruknęła. – Ale chyba zamknę was oboje na klucz, bo myślicie tylko o tym, do czego kobieta i mężczyzna są stworzeni.

Addy wsparła się na łokciu i odgarniając włosy z twarzy, oznajmiła:

– Powiedziała, że chyba zamknie nas oboje na klucz, bo my myślimy tylko o tym, do czego kobieta i mężczyzna są stworzeni.

Mack, śmiejąc się, objął Addy.

– Ona też chętnie by...

Addy przytuliła się do niego.

– To naprawdę straszne – powiedziała.

Odchylił głowę, by na nią spojrzeć.

– Co straszne? – zapytał.

– To, że każdy, kto mieszka z nami, wie, co robimy w nocy.

Roześmiał się.

– Przecież nie robimy nic zdrożnego – rzekł.

Zmierzyła go spojrzeniem.

– Wiesz, co mam na myśli. – Wzruszyła ramionami. – Czuję się tak, jakbym była wciąż pod okiem kamery.

Przesunął dłonie wzdłuż jej ciała.

– Zadie mieszka w drugim końcu domu – przypomniał jej. – Rzadko tu bywa.

– No tak, ale mimo to...

Przytulił ją do siebie.

– Czy poczułabyś się lepiej, gdybym kupił jej mieszkanie? – zapytał, a ona poczuła się szczęśliwa, że tyle gotów był dla niej zrobić.

– Wystarczy, jak zafundujesz jej wkładki do uszu.

Spojrzał na nią wyraźnie zaskoczony.

– Czyżby zdarzało ci się krzyczyć? – zapytał.

– Owszem, zdarza się – odparła.

– Skoro nic mi o tym nie wiadomo, to wygląda na to, że stawiasz mi zarzut – powiedział.

– To nie zarzut, to wyzwanie – rzekła.

– Ubóstwiałem wyzwania – powiedział, pochylając się do pocałunku.

– Odnalazłem go w Houston – powiedział Lenny, zwracając się do Macka i kładąc przed nim na biurku teczkę. – Mieszka w pobliżu Galerii. Zdaniem policji od pięciu miesięcy.

Mack przyglądał się fotografii długonogiej blondyny wspartej o ramię Roba.

– Babka w jego typie – oznajmił. – Nawiązałeś z nim kontakt?

– Dziś o dziesiątej rano. – Lenny potrząsnął głową ze smutkiem. – Wyrwałem go z twardego snu.

– Wynika z tego, że nie pracuje – rzekł Mack.

– Na to by wyglądało.

– Policja twierdzi, że ma jakąś kobietę.

– Bogatą?

– Żyje z funduszu powierniczego założonego przez jej dziadka. Jeśli nie będzie szastała pieniędzmi, ma zapewniony chleb do końca życia.

Mack chrząknął znacząco.

– W ciągu roku lub dwóch Rob oskubie ją ze wszystkiego.

Lenny potwierdził tę opinię ruchem głowy.

– Sądząc po jego obyczajach, masz chyba rację – powiedział.

– Co zatem zamierzasz?

Lenny otworzył szufladę w biurku.

– Dokumenty są gotowe do podpisu – oznajmił. – Na jutro na godzinę trzecią po południu umówiłem cię na lotnisku Houston z notariuszem, by poświadczył podpisy twój i Roba.

– Rob zgodził się przyjść?

Lenny uśmiechnął się drwiąco.

- A jak sądzisz? Na słowo „ojcostwo” już sięgnął po pióro.
- Nigdy nie wydorosłeje – rzekł Mack.
- Ciało wydorosłało, gorzej z jego mózgiem.

Mack włożył do walizki saszetkę z przyborami toaletowymi i podszedł do szafy.

– Wręczone Robowi przygotowany przez Lenny’ego dokument – mówił, zwracając się do Addy. – Podpisze go, notariusz przystawi pieczętkę i sprawa załatwiona.

Z koszulą w ręku stanął przy łóżku. Addy była wyraźnie zmartwiona.

– I to wszystko? – zapytała, wkładając jego koszulę do walizki. – Nie będzie rościł sobie praw ojcowskich do Johnny’ego Macka?

– Nie. Skoro podpisał, to tym samym zrzekł się praw do naszego syna.

Addy położyła rękę na piersi wzruszona tym, że powiedział „naszego” syna. Połykając łzy, ujęła jego dłoń.

– Uważaj na siebie – rzekła.

Spojrzał na nią i pocałował ją z czułością w rękę.

– O Robie wiele można powiedzieć, ale nie to, że jest porywczy. Nic mi nie grozi, nie bój się.

Wprawdzie ona też nie miała podstaw, by posądzać Roba o złe zamiary, lecz odkąd Mack po powrocie z biura prawnego powiedział jej o swoich planach wyjazdu do Houston, czuła, że coś złego wisi w powietrzu.

Z wymuszonym uśmiechem powtórzyła:

– Uważaj. Boję się o ciebie.

– Wszystko będzie dobrze, Addy.

Zasunął zamek torby podróżnej.

Chętnie padłaby mu do nóg, błagając, by nigdzie nie wyjeżdżał.

– Czy naprawdę musisz jechać dziś wieczór? – zapytała, myśląc nerwowo, jakby tu odłożyć w czasie jego wyjazd. – Masz przecież czas do jutrzejszego popołudnia.

– Muszę brać poprawkę na korki czy ewentualny problem z zaparkowaniem przy dojeździe na lotnisko.

– Możesz przecież polecieć rannym samolotem, oszczędziłbyś sobie czasu – rzekła.

Potrząsnął przecząco głową, objął ją, przytulił i oboje skierowali się do pokoju dzieciennego.

– Przestań się zamartwiać – powiedział. – Nic złego nie ma prawa mnie spotkać.

W sypialni małego oboje pochylili się nad łóżeczkiem. Gdy Mack pogłaskał chłopca po policzku, łzy napłynęły do oczu Addy.

– Bądź grzeczny, gdy mnie nie będzie – szepnął do pogrążonego we śnie Johnny’ego Macka. – I opiekuj się mamą. – Pocałował go w czoło, po czym wyprostował się i chwyciwszy się poręczy łóżeczka, dłuższą chwilę patrzył na chłopca.

W końcu, objąwszy Addy, sięgnął po walizkę.

– Jeśli się obudzi w nocy – szepnął, gdy wychodzili z pokoju – zaśpiewaj mu coś. Zdaje się, że lubi country. Dwie zwrotki i zaśnie ci od razu.

Stojąc w progu, dotknął jej ramienia i zaproponował:

– Pożegnajmy się tutaj, bo jak Zadie zobaczy, że cię całuję, może być awantura – zażartował.

Śmiejąc się przez łzy, zarzuciła mu ręce na szyję.

– Uważaj na siebie – szepnęła.

– Ty też.

Pocałował ją, spojrzał jej w oczy, znów pocałował i szepnął:

– Do jutra.

Pomachała mu ręką. Ale gdy doszedł do końca korytarza, krzyknęła:

– Mack! Zaczekaj!

Stanął, odwrócił się.

– Tak?

Łzy przesłaniały jej obraz. Przycisnęła rękę do ust, by nie wypowiedzieć tych dwóch słów, które miała na końcu języka.

Opuściwszy ramię, rzekła tylko:

– Nie zapomnij zapiąć pasa.

Uśmiechnął się do niej ciepło i spojrzał czule.

– Nie zapomnę. Dobranoc, Addy.

Zniknął za zakrętem.

– Dobranoc, Mack – szepnęła.

Mack podał rękę notariuszowi siedzącemu przy barze na lotnisku.

– Mack McGruder – przedstawił się.

Notariusz wstał i uścisnął dłoń Macka.

– Glen Powell – powiedział.

Mack rozejrzał się, miętosząc nerwowo kopertę.

– Rob jeszcze tego nie załatwił? – zapytał.

– O ile wiem, nie. – Glen spojrzął na zegarek. – Jeszcze nie ma trzeciej. Zostało mu trochę czasu.

Mack westchnął i usiadł obok notariusza. Gdy pojawiła się kelnerka, zamówił piwo w nadziei, że odrobina alkoholu pozwoli mu zapanować nad nerwami. Prawie nie spał tej nocy, dlatego też chciał wczesnym rankiem lecieć do Houston. Znał siebie, wiedział, że gdyby został, nie potrafiłby ukryć przed Addy zdenerwowania, a nie chciał jej niepokoić. I bez tego miała dość zmartwień.

Właściwie to ona nie ma powodów do zmartwień, pomyślał. Nie ma też powodu przypuszczać, że Rob będzie się wykręcał od podpisania tych dokumentów. Poprzednie podpisał bez mrugnięcia okiem.

Kelnerka podała mu piwo. Siedząc przy barze, spojrzął na spieszących się dokądś ludzi, a potem na drzwi. Roba ciągle nie było.

Zerknął na zegarek: parę minut po trzeciej. Człowiek, który nie ma nic do roboty, myślał, nie liczy się z czasem.

Addy, trzymając w jednej ręce dziecko, a drugą wymachując z zapalem, wybiegła przed dom.

– Zadio! Chwileczkę!

Zadio wydawszy usta, zapytała zgryźliwie:

– O czym tym razem zapomniałaś?

– Szampan. Mack wraca dziś wieczór, chcę to uczcić.

Zadio przewróciła oczami, aż białka jej błysnęły, i odeszła.

– Jęcza – mruknęła Addy i przytuliła nos do policzka Johnny'ego Macka. – Tak naprawdę to nas kocha – mówiła – tylko nie umie okazywać uczuć. Ty mój maluszkule – mówiła dalej, tuląc chłopca, gdy wchodziła po stopniach na ganek. – A co powiesz na kąpiel? – zapytała. – Masz ochotę się popluskać?

Mały pomachał rączkami i nóżkami, jakby rzeczywiście zrozumiał propozycję i był z niej bardzo zadowolony.

– Jesteś bystry – stwierdziła, biorąc z szafki rzeczy potrzebne do kąpieli, i zaczęła go rozbierać. – Mack przyjedzie dziś wieczór – mówiła. – Na pewno bardzo się za tobą stęsknił. A ty za nim?

Mały wpatrywał się w nią zaokrąglonymi z zaskoczenia oczami.

Odkręciła kurek i sprawdziła temperaturę wody.

– Mack to dobry człowiek – ciągnęła. – Szczęściarzem z ciebie, że masz ojca,

który tak cię kocha. – Wycisnęła gąbkę. – Ja nie znałam mojego ojca. Wyobrażasz sobie? Umarł przed moim urodzeniem. – Dotknęła nosem noska chłopca. – Przykro jest nie mieć ojca, wiesz? – Uśmiechając się, myła syna gąbką. – Ale ty masz Macka. I on cię bardzo kocha. I jest dobrym ojcem – zapewniała go.

– Niewielu ojców wstawałoby w nocy do dziecka.

Gdy skończyła, wyjęła Johnny’ego z wanny i zawinęła w ręcznik.

– No, teraz chłopiec czysty. Włożymy jeszcze pieluchę i czyste ubranko – ciągnęła swój monolog. – Pokołyśmy się podczas jedzenia? – zapytała, siadając, a gdy jadł, obserwowała go z uśmiechem.

Po chwili opadły ją jednak złe myśli. Przypomniała sobie o spotkaniu Macka z Robem.

Przymknęła oczy, modląc się w duchu, by wszystko poszło dobrze i żeby Mack wrócił z podpisanym przez Roba dokumentem. Nucąc starą kultową melodię, wspominała chwile, gdy Mack, pełen skupienia, trzymał ją podczas porodu za rękę i wpatrywał się w nią tymi swoimi błękitnymi oczami, i gdy potem stał przy niej w sali, a pastor Nolan orzekał, że są mężem i żoną. Wspominała też, jak Mack, uśmiechając się czule, kołysał Johnny’ego do snu i jak spał obok niej, a ona czuła jego oddech na szyi.

– Kogóż my tu widzimy?!

Podskoczyła. Otworzyła oczy i zobaczyła Roba stojącego w drzwiach jej sypialni. Odruchowo przytuliła do siebie synka.

– Co... ty tu robisz?

– To chyba oczywiste – odparł z szerokim uśmiechem, wyciągając ramiona. – Przyszedłem odwiedzić moją rodzinę.

Pochyliła się nad małym, osłaniając go swoim ciałem.

– Macka nie ma – powiedziała.

– Oj, Addy, Addy – rzekł tonem strofującym, wchodząc do pokoju. – Ja nie przyszedłem do Macka. Przyszedłem do ciebie i mojego syna. Naszego syna.

– On nie jest twoim synem.

Zmarszczył gniewnie czoło.

– Czy naprawdę chcesz mi wmówić, że jego ojcem jest Mack? Łatwo zbić tę tezę. A więc ostatnio widziałem cię w grudniu, mniej więcej pół roku temu. Powiedziałaś mi wtedy, że jesteś w ciąży, w drugim miesiącu, a byliśmy ze sobą cztery miesiące przed tym naszym spotkaniem.

– Uśmiechnął się z satysfakcją. – Proste wyliczenie: dziecko jest moje.

– Nie jest twoje! – krzyknęła. – Jego ojcem jest Mack. Adoptował je.

– A dlaczego Mack miałby adoptować dziecko? W jego wieku? Cóż miałby zyskać, biorąc na siebie taką odpowiedzialność? Wychowując cudze dziecko?

Stanął tuż przy niej.

– Nie wygłupiaj się, Addy – ciągnął. – Pomyśl tylko. Mack ma czterdzieści dwa lata. Jest wdowcem. Jego żona i synek zginęli w wypadku samochodowym.

Podkuliła kolana, byle jak najdalej od niego, odchyliła się na oparcie krzesła.

– Nie chcę tego słuchać!

– Musisz – rzekł spokojnie. – Masz sprawny mózg, prawda? Czy zatem nigdy nie przyszło ci do głowy, dlaczego Mack chce mieć dziecko swojego przyrodniego brata? Brata, którym otwarcie pogardza?

Położył rękę na jej kolanie. Cofnęła nogę.

– Nie dotykaj mnie! Nie waż się!

Wzruszył ramionami.

– Twoja strata. Zresztą nigdy nie byłeś za dobra w łóżku.

Odwróciła głowę, nie mogła już na niego patrzeć, – Wynoś się! Wynoś się z tego domu albo wezwę policję!

– Nie wzywałabym policji na twoim miejscu. Wyobrażasz sobie, ile byłoby plotek? Całe miasto dowiedziałoby się, że to ja jestem ojcem dziecka, a nie Mack.

Zmierzyła go pełnym nienawiści spojrzeniem.

– Jeżeli chodzi ci o pieniądze, to nie mam ani centa – powiedziała.

Uśmiechnął się kącikiem ust.

– Ale Mack ma. Kupę forsy. I głowę daję, że za mojego syna zapłaci każdą cenę. Myśli, że dostanie go za darmo? Że złożę podpis i cześć? Zrzeknę się praw?

Pochylił się ku niej.

– Dlatego pojechał do Houston – mówił dalej – żebym podpisał zrzeczenie się praw rodzicielskich. Chciał wyłudzić ode mnie podpis, zanim do mnie dotrze, że zamierza sobie przywłaszczyć moje dziecko! Ale ja nie jestem taki głupi, za jakiego mnie ma. Od razu go rozpracowałem. A gdy Lenny zadzwonił do mnie, żebym się umówił na spotkanie z Maćkiem w sprawie zrzeczenia się praw ojcowskich, wszystko stało się dla mnie jasne. Czułem jednak, że jeszcze coś się za tym kryje. Zadzwoniłem do paru kumpli z Lampasas i możesz sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy mi powiedzieli, że Mack niedawno się ożenił z dziewczyną z dzieckiem, niemowlęciem. Z dziewczyną z Dallas. Zastanowiło mnie to, bo właśnie porzuciłem w Dallas ciężarne dziewczynę. Do głowy mi jednak nie przyszło, że to wy oboje... Maćkowi zawsze zależało na zacieśnianiu więzów rodzinnych, szczególnie tych odnoszących się do mojej osoby. Jego zdaniem Bóg

powierzył mu tę misję. Misję ochrony rodziny. Więc jak złożyłem wszystko do kupy, okazało się, że wiedział o tobie, że jesteś w ciąży, i pojechał do Dallas, żeby cię przekupić. Zgadza się? Mam rację?

Addy patrzyła na niego w milczeniu, nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

– Nie musisz odpowiadać, Addy, bo znam odpowiedź na to pytanie. Nie masz kamiennej twarzy pokerzysty.

– Przyłożył rękę do ust, jakby zaraz miał wyjawić jakąś tajemnicę. – Mówiąc między nami, guzik mi zależy na dziecku. – Opuścił dłoń i uśmiechnął się ironicznie. – Ale Mack musi mi słono za nie zapłacić. Niczego nie ma za darmo. Nawet tego, na czym mi nie zależy.

– Nie masz prawa – odezwała się cierpko Addy. – Nigdy nie chciałeś tego dziecka. Bałeś się odpowiedzialności.

Wzruszył ramionami, przyjmując obojętnie jej zarzuty.

– Po co mi bachor? A nie interesuje cię, po co on Maćkowi? Nie przyszło ci na myśl, że powoduje nim litość? Zlitował się nad biedną opuszczoną matką nieślubnego dzieciaka i postanowił uznać je za swoje niczym błędny rycerz z bajki. – Przyniósł się do niej. – A może powód jest inny? Może kierują nim względy egoistyczne? Może chce mieć następcę? Jego syn zginął. Nie ma komu zostawić majątku.

– Nie opowiadaj głupstw! – zaprotestowała oburzona. – Mack nie jest egoistą! To uczciwy, szlachetny człowiek!

Rob wstał, wyprostował się i uniósł brwi ze zdziwieniem.

– Doprawdy? Nigdy ci nic o mnie nie wspominał?

Addy przypomniała sobie, że wspominał.

– Owszem, mówił, że stosunki między wami są... napięte.

– Napięte? – Roześmiał się. – No, można to i tak ująć. Prawda jest taka, że szczerze mnie nienawidzi! Od dnia moich narodzin. Bo matka kochała mnie bardziej niż jego.

Nie uwierzyła mu, ale wolała nic nie mówić, bo bała się, że w przyływie złości może jej zrobić jakąś krzywdę.

– Dlatego ożenił się z tobą i chce adoptować mojego syna – mówił dalej. – Nie dlatego, że jest szlachetny i wspaniały! Ożenił się z tobą, bo jego zdaniem jemu się wszystko należy. Ożenił się z obcą dziewczyną i chce adoptować jej syna! Syna – dodał z naciskiem – w którego żyłach płynie również i jego krew!

Na to Addy rzekła z całym spokojem:

– Nie chodziło mu o więzy krwi. Mack usynowił moje dziecko, bo je kocha.

– Nie rozśmieszaj mnie, Addy. Mack McGruder kocha tylko jedną osobę na świecie. Siebie.

– Nieprawda! On kocha nas!

– Nas? – powtórzył, obrzucając ją pełnym współczucia spojrzeniem. – Nie mów mi, że cię kocha, bo się z tobą przespał. Jest mężczyzną. Dziś ta, jutro inna.

Łzy napływały jej do oczu. Z trudem je powstrzymywała. Rob ze zdumieniem potrząsnął głową.

– Coś podobnego! Mój braciszek nie tylko spłodził spadkobiercę, ale i usidlił kochankę! Tak czy owak – ciągnął – ty jesteś górą w tej grze. Ładnie to sobie załatwiłaś, nie ma co! Spory krok ze slumsów w Dallas!

I kupa forsy!

Przykucnął przy niej i zajął jej głęboko w oczy.

– Dobry interes, Addy. Ale ja też chcę coś z tego mieć. I to niemało. A ty mi w tym pomożesz. Wtedy zostawię ci tego bachora i pozwolę żyć w luksusie jako małżonce Macka. – Podniósł palec ostrzegawczym gestem. – W przeciwnym razie pożegnasz się z dzieciakiem i wrócisz do Dallas cierpieć będę.

– Wynoś się z domu pana Macka!

Addy obejrzała się i zobaczyła stojącą w progu Zadię z bronią wycelowaną w Roba. Rob wstał.

– Zadię – wychrypiał. – Przecież mnie nie zabijesz! Wychowywałaś mnie.

Odbezpieczyła broń, trzymając Roba na muszce.

– Powinam cię była utopić i oszczędzić wstydu, jaki przynosisz rodzinie!

– Przestań, Zadię – zaczął, robiąc krok w jej stronę.

Metaliczny szczęk kazał mu unieść ręce do góry.

– Nie licz na to, że nie nacisnę spustu – ostrzegła. – A teraz wynoś się z tego domu! I nie terroryzuj więcej tej rodziny, bo inaczej właduję ci kulkę w serce.

Rob, z rękami nad głową, skierował się w stronę drzwi. Zadię, w bezpiecznej odległości, postępowała za nim, trzymając go na muszce.

Addy, cała spięta, usiadła na fotelu, nie wypuszczając z rąk Johnnynego Macka.

Po chwili, z bronią u boku, wróciła Zadię.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

Addy wzięła głęboki oddech i spojrzała na stojącą w progu Zadię.

– Tak... Nie zrobił mi krzywdy.

– I nie robi – zapewniła Zadię. – Już go nie ma. Zamknęłam za nim drzwi na cztery spusty.

– Dziękuję – wyjąkała oszołomiona Addy.

– Dlaczego wpuściłaś tego człowieka do domu? – zapytała Zadie zirytowanym tonem.

– Ja go nie wpuściłam. On się po prostu... pojawił.

– Musiał się zakraść. Pewnie przeszedł przez bramy, gdy poszłam po zakupy. – Podeszła do Addy. – Daj mi dziecko, skarbie. Drzysz cała jak liść na wietrze.

Addy przytuliła do piersi Johnnynego Macka.

– Nie – odparła.

Zadie wzięła się pod boki.

– Nie możesz przez cały dzień siedzieć z nim na tym bujanym fotelu.

Westchnęła z rezygnacją, widząc, że nic nie poradzi.

– No, niech ci będzie – rzekła. – Kołysz małego. Czuję, że nerwy masz w strzępach. Ja zresztą też. – Zmusiła się do uśmiechu. – Wiem, co nam dobrze zrobi. Mocna herbata. Z kroplą whisky. W celach leczniczych, rzecz jasna. – Ruszyła ku drzwiom. – A ty dochodź do siebie.

Addy dziwnie się czuła. Ciało miała jakieś zeszywniałe, mrugała powiekami. Myśli umykały jej szybko, a inne znów natrętnie ją nękały.

Rob kłamał, przekonywała się w duchu, ale mimo to zasiał w jej umyśle sporo wątpliwości. Mack nie był złym człowiekiem, nie był egoistą, o co tamten go oskarżał. Kochał ją i kochał dziecko. Każde słowo Roba było kłamstwem.

I znowu te wątpliwości.

Oczywiście, Mack kocha dziecko. Ale czy kocha ją? Może zależy mu tylko na seksie, co sugerował Rob?

Nie wiedziała, jak sobie odpowiedzieć na to pytanie. Mack nigdy jej nie mówił, że ją kocha. W każdym razie nie słowami. Był miły, uprzejmy, szlachetny, hojny. Ale czy ją kocha? Tak jak ona kocha jego?

Poczuła w oczach piekące łzy. Boże, jak ona tego pragnie. Jak bardzo pragnie mieć rodzinę, jak bardzo tęskni do czegoś, czego nigdy nie zaznała, *co* do tej pory nie było jej dane. Sądziła, że dzięki Maćkowi spełni się *jej* marzenie.

Zaczęła wierzyć, że oboje mogliby taką rodzinę stworzyć. Może niezupełnie w tym sensie, w jakim ona by chciała... Potrzebowała jego miłości, jego serca. Ona swoje już mu oddała i właściwie niczego nie żądała od niego w zamian, nawet tej namiastki rodziny, jaką jej ofiarował przez sam fakt ślubu.

Czas, pomyślała. Ona i Mack czuli to, co czuli, każde na swój sposób. Dopiero zaczęli się poznawać. Wiedziała, że mu na niej zależy. Może z czasem przerodzi się to w miłość tak wielką, jaką ona darzyła jego.

A jeśli nic z tego nie wyjdzie?

Poczuła lęk, jakby ktoś lodowatymi dłońmi ścisnął ją za gardło. Co się wówczas stanie? Co będzie, jeśli Rob wprowadzi w czyn swoje groźby? Oświadczył, że jeśli Addy nie pomoże mu wydobyć pieniędzy od Macka, to odbierze jej dziecko. Nie przeżyłaby tego. Nie zniosłaby też, gdyby Mack miał po raz drugi stracić syna.

Tego lękała się najbardziej: że Rob odbierze bratu Johnny'ego Macka.

Musi coś zrobić, żeby temu zapobiec, myślała, a gniew dodawał jej siły. Nie będzie uczestniczyć w tym szantażu wymierzonym w Macka. Nie zrobi nic, co mogłoby Maćkowi zaszkodzić.

Jeżeli jednak sprzeciwi się woli Roba, on może się posunąć do tego, że wystąpi do sądu o przyznanie prawa do opieki nad dzieckiem, choć wcale mu na małym nie zależało.

Znów ogarnął ją paniczny lęk. Póki Rob nie podpisze właściwego dokumentu, który Lenny przygotował, wciąż ma wobec chłopca prawa ojcowskie. Przeszaną one obowiązywać dopiero w chwili adopcji Johnny'ego Macka przez Macka. Sąd przedkłada prawa ojcowskie nad wszelkie inne prawa i żadne emocje nie mają tu znaczenia.

Wstała z fotela. Musi *odejść*, pomyślała, a serce waliło jej jak młotem. Swoim odejściem odbierze Robowi atut, jaki jego zdaniem posiadał. Myślał, że ona jest taka chciwa jak on, że zrobi wszystko, by jako żona Macka żyć w luksusie. Mylił się. Mack znaczył dla niej więcej niż pieniądze. Poświęciłaby wszystko dla jego szczęścia i szczęścia swojego syna.

Tymczasem Zadie przyniosła obiecaną herbatę. Na widok opatulonego dziecka i pakującej się Addy stanęła w drzwiach oniemiała ze zdziwienia.

– Co tu się dzieje? – zapytała.

– Wyjeżdżam.

Zadie wybałuszyła na nią oczy.

– Jak to wyjeżdżasz?

Addy wyjęła z szuflady ubranko małego.

– Wracam do domu. Do Dallas.

Zadie z hukiem postawiła na stole tacę z herbatą.

– Twój dom nie jest w Dallas – rzekła. – Twój dom jest tutaj, gdzie mieszka pan Mack. Co ty sobie wyobrażasz? Pan Mack wróci i nie zastanie cię? Co ja mu powiem?

Addy zamknęła walizkę i ze spokojem, który ją samą zdziwił, oznajmiła:

– Powiedz mu, że może wnieść sprawę o unieważnienie małżeństwa.

Rozdział 8

Mack był wściekły, gdy z piskiem opon hamował przed swoim domem. Idiotyczna strata czasu, myślał, parkując auto. Tak, to typowe dla Roba. Umawia się i nie przychodzi. Nie liczy się z nikim. A on, Mack, zna swojego brata przyrodniego i nie powinno go to dziwić.

Gestem zmęczonego człowieka oparł czoło o kierownicę. Niech to diabli, co on powie Addy? Że wraca z niczym? Na pewno się zdenerwuje. On też się zdenerwował. A żywił błogą nadzieję, że wszelkie problemy z Robem mają już za sobą.

Westchnął, wysiadł z auta, rozprostował ramiona i skierował kroki w stronę domu.

Otworzył drzwi, zamknął je za sobą i wszedł do środka.

– Jest tu ktoś? – krzyknął.

Zadie wyłoniła się z kuchni.

– Och, panie Mack – rzekła płaczącym tonem. – Wyjechali. Spakowali się i wyjechali.

W gardle mu zaschło.

– Kto? Addy?

– Tak. Zaraz po wyjściu Roba spakowała się i tyle ją widziałam.

Serce w nim zamarło.

– Rob? Był tutaj Rob?

– Tak, proszę pana. Gdy rano poszłam po zakupy, musiał się przemknąć przez bramę, bo była uchylona. – Podniosła połę fartucha i ukryła w niej twarz. – To wszystko przeze mnie – zawodziła. – Nie powinnam była zostawiać jej samej. Wiedziałam przecież, na co go stać.

Położył dłoń na jej ramieniu. – I co było dalej? Wytarła fartuchem twarz.

– Musiał jej coś powiedzieć, bo gdy wyszedł, zaczęła się pakować.

– Nie wiesz, dokąd pojechała?

– Powiedziała, że jedzie do Dallas. Do domu. Namawiałam ją, żeby zaczekała na pana, ale nie chciała słuchać. Była jak nawiedzona. Kazała panu przekazać o tym unieważnieniu, co jej pan obiecał.

– O Boże – szepnął Mack. – Nie chcę o tym słyszeć!

Mack nie miał zamiaru rezygnować z Addy. Pojedzie do Dallas i przywiezie ją i

dziecko z powrotem do domu.

Ale przedtem musi załatwić pewne sprawy z Robem. Nie wiedział, co powiedział Addy, i mało go to obchodziło. Wiedział natomiast, że z jego powodu wyjechała, a on zrobi wszystko, żeby jego przyrodni brat nie wtrącał się już więcej do ich życia.

Skoro ostatnia próba spotkania się z Robem zawiodła, Mack postanowił zastosować inną taktykę.

Punktualnie o dziewiątej rano, dwa dni po wyjeździe Addy, zaparkował auto w Houston, gdzie ostatnio Rob mieszkał, i z dokumentami, które Lenny dla niego przygotował, wysiadł z samochodu. Rzucił okiem na stojące obok auto i ruszył w stronę domu.

Nacisnął dzwonek i wsłuchując się w jego przeciągły, przenikliwy dźwięk, pomyślał, że właśnie z racji tego brzmienia Rob pospieszy otworzyć mu drzwi.

Po chwili usłyszał kroki przyrodniego brata, a także miotane przezeń pod nosem przekleństwa. Odsunął się na bok, by Rob nie dostrzegł go przez dziurkę od klucza.

Rob otworzył drzwi i stanął w progu w piżamie, z groźną miną.

– Cześć – powiedział Mack.

– Po diabła tu przyszedłeś?! – warknął Rob.

Chciał zatrzaskać bratu drzwi przed nosem, ale ten zdążył wsunąć nogę za próg, po czym wszedł do środka.

– Ładnie tu – powiedział, rozglądając się.

Rob poczerwieniał z wściekłości.

– Czego chcesz, do jasnej cholery? – zapytał.

Mack wyciągnął ku niemu teczkę.

– Skoro nie przyszedłeś na umówione spotkanie – zaczął – pomyślałem sobie, że oszczędzę nam obu kłopotu i sam ci przyniosę...

– Jeśli to jest zrzeczenie się praw ojcowskich, to na próżno tracisz czas. Nie podpiszę tego.

– Może jednak warto się zastanowić – zasugerował Mack.

Rob, krzyżując ramiona na piersi, rzekł:

– Jeśli sądzisz, że dam ci się omamić, to się grubo mylisz, braciszku. Przejrzałem twoje zamiary. Dziecko jest moje, a zmiana tego stanu rzeczy może cię drogo kosztować.

Mack z całym spokojem otworzył teczkę.

– Jeśli mowa o pieniądzach – powiedział – to mam tu pewne oświadczenie,

które może cię zainteresować.

Rob obrzucił go podejrzliwym wzrokiem.

– Co za oświadczenie?

Ignorując to pytanie, Mack rozejrzał się dokoła.

– Możemy gdzieś usiąść i porozmawiać? – zapytał.

Rob westchnął i po chwili wskazał krzesło przy kanapie.

– Tylko się pospiesz, bo wracam do łóżka.

Mack położył teczkę Lenny'ego na stoliku i otworzył – Jak widzisz – rzekł – są tu dokumenty z banku, w którym matka założyła dla ciebie konto.

– Wiem – odparł Rob. – Co kwartał dostaję wyciąg.

– Zainteresowałeś się nim?

– Po co? To tylko cyfry.

– Gdybyś pofatygował się przeczytać ostatni raport – ciągnął Mack – dowiedziałbyś się, że stan twojego konta jest równy zeru.

Rob zerwał się na równe nogi.

– To kłamstwo! – krzyknął. – Miałem na koncie przeszło milion!

– Miałeś – przyznał Mack. – I w ciągu dwunastu lat wszystko przepuściłeś.

Rob, chwyciwszy się za głowę, przemierzał pokój w tę i z powrotem.

– Niemożliwe! To absolutnie wykluczone!

– Możliwe. Taka jest prawda – stwierdził Mack.

– Ale ja co miesiąc otrzymuję pieniądze! Dywidendy od inwestycji.

– Nie masz aktywów – rzekł Mack, potrząsając głową. – Jeśli pamiętasz, w dniu twoich trzydziestych urodzin zamieniłeś aktywa na gotówkę. Wbrew moim radom – dodał. – Kupiłeś, zdaje się, łódź, mały jacht czy coś takiego.

Mack dostrzegł krople potu na czole brata i pomyślał, że dopiął swego.

– To stara historia – ciągnął. – Ale wracając do funduszy, to przelewałem lokaty na twój rachunek ze swoich własnych pieniędzy, by cię wspomóc.

Zamilkł, by te słowa dotarły w pełni do Roba, po czym wziął arkusz z oświadczeniem i wsunął go z powrotem do teczki.

– Ale dłużej nie zamierzam tego robić – rzekł.

Rob był błąd jak ściana.

– To z czego będę żył? Opłacał rachunki?

Mack wzruszył ramionami.

– Zawsze możesz sprzedać jacht. Wystarczy ci na życie, zanim znajdziesz jakąś pracę.

Rob usiadł na kanapie, ukrył twarz w dłoniach i wyjąkał:

– Jachtu już nie ma.

– Nie ma? – zapytał Mack z udanym zdziwieniem, bo znał prawdę. Specjalnie wynajęci wywiadowcy donieśli mu o konfiskacie jachtu przez straż antynarkotykową.

Rob zwiesił głowę.

– Pożyczyłem go kumplowi, a on miał problemy po powrocie z Meksyku i policja go zwinęła.

– To smutne, Rob, naprawdę przykra sprawa. – Mack rozejrzył się po pokoju, odnotowując w myślach jego kosztowny wystrój. – Może kobieta, z którą żyjesz, wesprze cię, zanim znajdziesz pracę. Wygląda na to, że byłoby ją na to stać.

– To nie wchodzi w grę. Ona i tak się we wszystko wtrąca.

– Hm – mruknął Mack. – Zabrnąłeś chyba w ślepią uliczkę.

– Coś mi się zdaje, że ta cała rozmowa o moich finansach prowadzi do tego, by mi odebrać dziecko.

Mack znów sięgnął do przygotowanej przez Lenny'ego teczki.

– Wolałbym to określić jako odkrycie kart, postawienie sprawy jasno. W sposób bardziej cywilizowany, nie uważasz?

Wyjął z teczki parę kartek i położył je na stoliku.

– To dokumenty – mówił dalej – które miałeś podpisać na lotnisku. Zrzeczenie się praw rodzicielskich wobec dziecka Addy. – Lekki uśmiech pojawił się na jego twarzy. – Podpisz.

Rob pochylił się nad papierami.

– A co ja będę z tego miał? – zapytał. – Coś mi się chyba w końcu należy, prawda?

– Owszem, przestaniesz dźwigać ciężar odpowiedzialności za dziecko – odparł Mack.

– Nie wygłupiaj się – obruszył się Rob. – Przejdźmy do rzeczy. Ile dla ciebie warte jest to dziecko?

Mack nie zamierzał zwierzać się Robowi, jak bardzo kocha Johnny'ego Macka.

– Człowieka nie da się wycenić – rzekł chłodno. Wyciągnął z teczki kilka następnych kartek. – Mam pewne moralne zobowiązania wobec naszej matki – ciągnął. – Przed śmiercią obiecałem jej, że będę nad tobą czuwał. Co czyniłem przez czternaście lat. I dość tego, Rob. Koniec. Nie będę już zasilał twojego konta, nie będę cię wybawiał z kłopotów. Radź sobie sam. To twoje życie i ty ponosisz konsekwencje tego, co robisz. Nie licz na mnie więcej.

Pochylił się nad dokumentami i mówił dalej:

– Lenny by ci to wszystko wyłożył bardziej naukowo, ale na jedno wychodzi. Twój podpis na ostatniej stronie będzie oznaczał, że zrozumiałeś, co ci powiedziałem. Będzie zaświadczał, że jesteś zwolniony z wszelkich kosztów związanych z wychowaniem dziecka. Ponadto – ciągnął – w paragrafie trzecim znajdziesz zapis, że należą ci się pewne pieniądze. Nie tyle, ile przepuściłeś, ale wystarczająca kwota na czas poszukiwania przez ciebie pracy... Chwileczkę. – Mack wstał i ruszył ku drzwiom.

– Dokąd idziesz? – zapytał Rob z niepokojem. – Skończmy z tą sprawą.

– Też tego chcę – powiedział Mack, wpuszczając do środka trzech panów: prawnika, bankiera i pastora. – Wszystko musi się odbyć legalnie.

– Nie ma pewności, że to się potwierdzi, ale kto wie – powiedziała Addy do Johnny’ego Macka, kołyszając fotelikiem, w którym go posadziła. – Szukajcie, a może znajdziecie. Nie wolno się zrażać. – Podeszła do bagażnika i zaczęła wyjmować z niego różne rzeczy. – O rany!

– jęknęła. – Co za rupiecie! – Krzywiąc się, wyciągnęła stary poźółkły gorset. – Po co matka to wszystko przechowuje?

Po paru minutach bezowocnego poszukiwania czegoś, co przypominałoby kartkę papieru, oznajmiła synkowi ze złością:

– Na próżno tracę czas. Jeśli naprawdę wysłał matce list, to musiała go wyrzucić.

I wtedy jej wzrok spoczął na kopercie z pieczęcią poczty lotniczej. Jej czarno-niebieskie obramowanie już wyblakło, ale pochodzenie koperty nie budziło wątpliwości. Sięgnęła po nią i usiadła obok.

– Stempel Wietnamu – powiedziała. – Ale nie ma nazwiska ani adresu nadawcy. – Przymknęła oczy, obiecując sobie, że cokolwiek znajdzie w środku, zapanuje nad nerwami.

Wyciągnęła list. Przeżegnała się i rozłożyła go, a gdy to robiła, wypadł z niego skrawek papieru. Serce w niej zamarło.

– Synku – szepnęła, jakby się bała, że od samego brzmienia jej głosu ów skrawek zniknie. – Jest! O Boże, jest!

Serce jej waliło, gdy podniosła do oczu papier, starając się w urywkach słów odnaleźć sens. Na odwrotnej stronie tej kartki znajdowała się pieczęć notariusza, jakieś kobiece nazwisko i coś, co musiało być podpisem Antoniego Rocci.

Dotknęła go. Podpis ojca.

– To jakbym dotknęła jego ręki – powiedziała Johnny’emu Maćkowi przez

zaciśnięte ze wzruszenia gardło. – Nie znałam go. Nigdy go nie widziałam. Umarł przed moim urodzeniem. – Spojrzała na syna oczami pełnymi łez. – Twój dziadek. Mój ojciec, a twój dziadek. To jego podpis – mówiła, chcąc się podzielić z synem tą radosną nowiną. Usiadła obok fotelika. – Przeczytajmy razem ten list.

„Droga Mary Claire! Nie znasz mnie, więc muszę się przedstawić. Nazywam się Lany Blair i służyłem razem z Tonym w Wietnamie. Byłem przy jego śmierci...

”

Addy przerwała i spojrzała na Johnny’ego Macka.

– To nie jest list od twojego dziadka – powiedziała i czytała dalej:

„Wiem, że moje słowa nie przyniosą ci ulgi po stracie, jaką poniosłaś, ale czuję potrzebę podzielenia się z tobą tym, co wiem o Tonym. Poznałem go w Austin, skąd wyruszyliśmy do San Francisco, a potem do Wietnamu. Nie wiedziałem wtedy, jak się nazywał, ale wszyscy mówili do niego Romeo. Nie muszę ci tłumaczyć dlaczego. Wyglądał na Włocha, miał piękne czarne oczy. Żadna kobieta nie mogłaby mu się oprzeć.

Ale Tony to nie tylko uroda. Miał wielkie serce i takie wesołe usposobienie, że wszyscy jego kumple przepadali za nim. Tu, w Wietnamie, gdzie trudno o śmiech. W ciężkich chwilach można było na niego liczyć.

Był dobrym przyjacielem. Jednego kolegę, o nazwisku Preacher, Tony traktował jak brata. Też się sprzeczali czasami, jak to między braćmi bywa, ale w potrzebie Tony zawsze przy nim był. Bo niektórzy śmiali się z dobroci Preachera, który muchy by nie zabił, a co dopiero człowieka. Tony niejednemu takiemu, co mówił, że Preacher to tchórz, nos rozkwasił.

Jak już nadmieniałem, byłem z Tonym w dniu jego śmierci. Zlecone nam zadanie miało być bezpieczne, ale w czasie wojny nie ma bezpiecznych zadań. Nie będę się wdawał w szczegóły, ale to muszę ci opisać. Tony był odważny: oddał życie, broniąc kolegi, z którym miał służbę tego dnia.

Dzień przed śmiercią powiedział mi o dziecku, którego się spodziewasz. Jego dziecku. Powiedział, że podle się czuje, że cię zostawił. I powiedział też, że zamierza ci wysyłać co miesiąc czek. A po powrocie znajdzie pracę i będzie mógł dawać ci większą sumę na wychowanie dziecka. Było mu przykro, że teraz daje tak mało.

Tej nocy prosił mnie, żebym mu coś obiecał. Więc obiecałem, że wyślę ten kawałek papieru, który niniejszym załączam. A wszedłem w jego posiadanie w następujący sposób: Wieczorem przed wyjazdem do Wietnamu byliśmy w barze w Austin. Wypiliśmy parę drinków. Tam poznaliśmy faceta, który stracił syna w tej

wojnie. Powiedział nam, że skoro nie ma już komu przekazać swojego rancza, daje je nam w prezencie. Dokonał tego zapisu na rachunku, który przedał na cztery części i każdą z tych części nam wręczył, poświadczony u notariusza. Nie wiem, czy to coś warte, ale Tony powiedział, że gdyby zginął, to nic po nim nie dostaniesz, więc dobre i to, i kazał mi przesłać ci ten świstek.

Miałem nadzieję, że nie będę musiał spełnić jego prośby, ale stało się inaczej i przykro mi z tego powodu. Pośród dokumentów Tony'ego znalazłem twój adres. Gdy wrócę, skontaktuję się z tobą i powiem, co należy zrobić w sprawie przejęcia rancza. Jak już wspominałem, chciałbym, żeby dzięki temu papierkowi dziecko Tony'ego, zgodnie z jego wolą, przejęło dziedzictwo po ojcu.

Wyrazy szacunku. Sierżant Larry Blair”

Addy patrzyła na list i łzy spływały jej po policzkach. Rękę trzymała na sercu.

– Czy to znaczy, że mnie kochał? – zapytała synka. – Wiesz, muszę to wszystko przemyśleć. Powiedział temu Larry'emu, że mu przykro, że mnie zostawił. Poprosił go, żeby w razie jego śmierci przesłał tę kartkę, bo to ranczo to jedyna rzecz, jaką posiadał.

Johnny Mack wykrzywił buzię i rozplakał się. Addy wsunęła list do kieszeni.

– Nie płacz, kochanie – mówiła, kołyszając go. – To, że mamusia jest smutna, wcale nie oznacza, że ty masz być smutny. – Pocałowała go. – Masz tatę – powiedziała. – Masz tatę Macka, który zawsze będzie cię kochał.

Mack zaparkował samochód przed domem Addy i siedział chwilę w milczeniu. W oknach od frontu było ciemno. Światło paliło się w pomieszczeniach na tyłach domu. Na wizytę było stanowczo za późno, ale nie po to przyjechał, żeby się teraz wycofywać.

Wziął głęboki oddech, przeczesał dłonią włosy i wysiadł z auta. Pomyślał, że chyba nie ma drugiego takiego wariata, który by cały dzień siedział za kółkiem i wędrował między Houston a Dallas. Ale nie miał głowy nawet do tego, żeby się zatrzymać na obiad czy prysznic. Marzył tylko o jednym – żeby zobaczyć Addy.

Zapukał dwa razy i czekał. Gdy ostatnio pukał do jej drzwi, otworzyła mu prawie natychmiast.

Zapaliło się światło na ganku i usłyszał:

– Kto tam?

– Mack. Musimy porozmawiać.

Przedłużająca się cisza nie rokowała dobrze, ale po chwili drzwi się uchyliły i w wąskiej szparze ujrzał część jej policzka.

– Mack? Co ty tutaj robisz? Jest późno.

– Wiem. Przepraszam, ale musimy porozmawiać.

– O czym? – zapytała.

Zapanował nad wzburzeniem.

– Addy, proszę cię, wpuść mnie do środka – rzekł.

Uchyliła szerzej drzwi. Wszedł. Była boso, w narzuconym na ramiona szlafroku. Spojrzał na zegarek. Minęła północ.

– Obudziłem cię – powiedział ze skruchą.

Cofnęła się, jakby chcąc utrzymać dystans między nimi.

– Jeszcze nie spałam – oznajmiła, potrząsając głową.

Rozejrzał się.

– Możemy gdzieś usiąść? – zapytał.

– Proszę, tędy.

Otworzyła drzwi do salonu, weszła, zapaliła światło i usiadła w fotelu.

Szanując jej wolę zachowania dystansu, usiadł na oddalonej od fotela kanapie.

– Czy Zadie przekazała ci wiadomość ode mnie? – zapytała.

– Tę o unieważnieniu małżeństwa?

– Tak.

– Przekazała.

– Powiadomiłeś Lenny’ego?

– Nie widziałem takiej potrzeby.

– Przecież obiecałeś – zaczęła – że jeśli zechcę z tym skończyć, zgodzisz się na unieważnienie.

– Unieważnienie już nie wchodzi w grę – powiedział. – Jeśli pamiętasz, skonsumowaliśmy nasze małżeństwo. I to ty byłaś inicjatorką.

Spuściła wzrok i zaczerwieniła się po uszy.

A on zastanawiał się, czy pamiętała tę chwilę. Bo on pamiętał. Ze wszystkimi szczegółami. Od chwili gdy pozbyła się okrywającego ją ręcznika. Pamiętał, jak poczuł żar jej ciała i jak potem zasnęli obok siebie.

– Dlaczego odeszłaś, Addy? – zapytał.

Zaczęła nerwowo skubać połę szlafroka.

– Pomyślałam, że tak będzie najlepiej.

– Dla kogo? Dla ciebie? Dla dziecka? Bo na pewno nie dla mnie.

Chwilę milczała, zacisnąwszy usta.

– Dla wszystkich – powiedziała w końcu.

– Przestań, Addy. Zasługuję chyba na trochę szczerości.

Oczy jej rozbłysły gniewem.

– Czego ty właściwie ode mnie chcesz?! – krzyknęła. – Masz spadkobiercę, którego chciałeś, tak? Dlatego się ze mną ożeniłeś.

Chciał zaprzeczyć, ale wtedy by skłamał. Chciał mieć spadkobiercę i dlatego się z nią ożenił.

– To prawda – przyznał. – Ale tak było na początku. Sytuacja się zmieniła. Ja się zmieniłem.

Tak bardzo pragnął, żeby mu uwierzyła. Ukłękł przed nią.

– Przecież byłaś ze mną szczęśliwa, prawda?

Przymknęła oczy pełne łez i odwróciła głowę.

– Mack, przestań – rzekła. – Proszę cię.

Te jej łzy utwierdziły go w przekonaniu, że go kocha.

– Spójrz na mnie, Addy – powiedział. A gdy z uporem patrzyła w inną stronę, chwycił ją pod brodę i zmusił, by skierowała na niego wzrok. – Popatrz na mnie i powiedz, że nie byłaś ze mną szczęśliwa.

Zamrugnęła powiekami.

– Tak, byłam z tobą szczęśliwa! – przyznała i łzy jak groch trysnęły jej z oczu.

– Zakochałam się w tobie. I dlatego odchodzę. Nie chcę, by on cię skrzywdził, a skrzywdziłby cię, gdybym z tobą została.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Masz na myśli Roba? On nie może mnie skrzywdzić.

– Gdybym została z tobą – gniewnym ruchem dłoni wytarła policzek – wykorzystałby Johnny’ego Macka, by wyciągnąć od ciebie pieniądze. Powiedział mi, że jeśli mu nie pomogę, to odbierze mi dziecko, a mnie odeśle do Dallas.

Nie mogąc pojąć sensu jej wywodów, zapytał:

– Uważasz, że twój wyjazd ochroni mnie przed nim?

– Czy ty nic nie rozumiesz? Przecież Robowi nie chodzi o Johnny’ego, tylko o twoje pieniądze. Gdybym została, poszedłby do sądu, udowodnił, że jest biologicznym ojcem chłopca, a ty przy tej okazji straciłbyś dorobek całego życia. Jeśli od ciebie odejdę, jeśli nasze małżeństwo przestanie istnieć, to ty przestaniesz się liczyć i już tylko ze mną będzie miał do czynienia. A mnie żaden sąd nie pozbawi prawa rodzicielskiego. I żaden sąd nie powierzy dziecka takiemu łajdakowi jak Rob. A więc ja będę miała jak dotąd wyłączną opiekę nad małym, a ty będziesz mógł go widywać, kiedy tylko zechcesz. Wiem, że go kochasz i on kocha ciebie. Ty jesteś jego prawdziwym ojcem.

Mack nie za bardzo nadążał za logiką jej myślenia, toteż zaprzestał zadawania

dalszych pytań. Powiedziała mu to, co chciał wiedzieć i co utwierdziło go w przekonaniu, że go kocha.

Z pełnym czułości uśmiechem pogłaskał ją po policzku.

– Doceniam, Addy, ogrom twojego poświęcenia, ale to naprawdę niepotrzebne. Rob nie może nam zrobić krzywdy. Ani tobie, ani mnie, ani Johnny’emu Maćkowi. Zabezpieczyłem się przed tym.

– Jak?

– Podpisał dokumenty.

– To niemożliwe – odparła. – Kiedy miał się z tobą spotkać w Houston, został w domu, nigdzie nie wyjeżdżał.

– Podpisał następnego dnia rano.

Patrzyła na niego rozszerzonymi ze zdumienia oczami, jak gdyby ów fakt nie docierał do niej.

– To znaczy, że już po wszystkim? Sprawa legalnie załatwiona? Nie będzie mógł podważyć wiarygodności tych dokumentów?

Mack roześmiał się.

– Niechby spróbował podważyć wiarygodność świadków, których sprowadziłem – rzekł.

– Nie wiem... co powiedzieć. Co robić...

Ujął *je*) twarz w dłonie. – Ale ja wiem. Zapytałaś mnie, czego od ciebie chcę, prawda?

Skinęła głową.

Starł łzę z jej policzka.

– Ciebie, Addy. Tylko ciebie. Kocham cię ponad wszystko na świecie.

– Mack... Nigdy mi nie mówiłeś o miłości.

– Nie powiedziałem, że cię kocham? – zapytał szczerze zdziwiony.

Znów skinęła głową.

– Coś podobnego! – rzekł. – A głowę bym dał, że wiele razy.

– Pamiętałabym. Takich rzeczy się nie zapomina.

Pocałował ją.

– Słusznie, masz rację. – Zamyślił się na chwilę. – Ale szczerze mówiąc, to nie pamiętam, kiedy się w tobie zakochałem. Jedno wiem na pewno, że stało się to przed tą nocą, kiedy mnie uwiodłaś. Niespodziewanie. Tak jak wszystko, co się między nami wydarzyło. Niespodziewanie zakochaliśmy się w sobie, niespodziewanie dziecko przyszło na świat...

Wstrzymał oddech, jakby miał jej jeszcze coś do powiedzenia i chciał, by to

„coś” jak najlepiej wypadło.

– Proponowałem ci wcześniej pewien układ małżeński, ale teraz proponuję ci małżeństwo. Chcę, żebyśmy byli mężem i żoną w pełnym tego słowa znaczeniu. Żebyśmy stanowili rodzinę.

– Mack...

– Chwileczkę – powiedział, pomagając jej wstać. – Omal nie zapomniałem.

Sięgnął do kieszeni po pierścionek, który dziś rano wyjął z sejf, a gdy wsunął go na jej palec, spojrzeli sobie w oczy.

– To obrączka ślubna mojej matki – rzekł. – Jedyne rzecz, jaką dostała od mojego ojca. Może to się wydać dziwne, ale nigdy nie przyszło mi na myśl, żeby ją dać mojej pierwszej żonie. Widocznie przeżuwałem, że przeznaczona jest dla innej kobiety. Dla ciebie.

Przerwał, by opanować drżenie głosu, i po chwili mówił dalej:

– Moi rodzice bardzo się kochali, tak bardzo, że aż byłem zazdrosny. Takim samym uczuciem darzę cię, Addy, i chciałbym, żebyś i ty kochała mnie tak mocno. Ten pierścionek jest symbolem rodziny, uczucia, jakie łączy dwoje ludzi. Noś go na znak mojej miłości do ciebie.

– Och, Mack... – Spojrzała na pierścionek. – Jest piękny. – Znowu miała oczy pełne łez. – To dla mnie wielki zaszczyt nosić pierścionek twojej matki.

W jej oczach dostrzegł tę samą głębię miłości, jaką widział w oczach matki, obietnicę, że już zawsze będą razem. Przed nim nowe życie – z żoną i synem, którego adoptował.

Uniósł jej dłoń z pierścionkiem i pocałował. Jego życie zatoczyło koło. Jeden etap się skończył, drugi rozpoczął.

– Kocham cię, Addy – powiedział.

– Ja też cię kocham, Mack.

Złożył na jej ustach pocałunek, pieczętując w ten sposób ich miłość.

– Wiesz, co ci powiem? – zaczął. – Chciałbym, żeby Johnny Mack miał siostry i braci.

Roześmiała się, zarzucając mu ręce na szyję.

– Ja też tego chcę, Mack. – Och, zapomniałam ci powiedzieć – rzekła, sięgając ręką do kieszeni. – Znalazłam ten skrawek papieru, który ojciec przysłał matce.

Podawała mu kopertę.

– Od twojego ojca? – zapytał, patrząc na adres nadawcy.

– Nie, od jego kolegi. A właściwie od jego córki, która zadzwoniła do mnie i powiedziała mi o wszystkim.

- No i?
- Co „no i”?
- Czy to coś wartościowego? – zapytał.
Zarzuciła mu ręce na szyję.
- Dla mnie bardzo.